

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 4. Warszawa, dnia 15 (27) Stycznia 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY		OPIEKUN DOMOWY	
Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.	wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.	Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —	REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT	
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . rs. 4 k. —	NR. 72 NOWY.	NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —		
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.		

Czem jest dla nas kwestya „ŻYDOWSKA."

Nie tak dawno, bo zaledwie przed paru laty, prasa nasza podniosła kwestyę „Skierowania żydów do zajęć rolnych." Po wywołaniu kilku dość żarliwych rozpraw, sprawa ta nie wzbudziła jednak oczekiwanego interesu i poszła ad acta.

Nie myślimy bynajmniej rozbierać, czy skierowanie żydów do zajęć rolnych odpowiada potrzebom czy nie?... Nie mamy również zamiaru wykazywać czy lekkomyślne usuwanie z pod nóg tuziemnej chrześcijańskiej ludności, jedynego punktu oparcia, doprowadziłoby do pożądanej assymilacyi szczepów, czy też szczep liczniejszy stałby się wtedy na własnych śmieciach kastą indyjskich paryasów?... Nie. Rozwiązanie tych pytań, zostawiamy na stronie; bo sądzimy zresztą, że ci, co je wywołali, nie ograniczą się na samem postawieniu hypotez i projektów w tak ważnej reformie społecznej.

Nasza praca ma inne zadanie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeszcze przed wstąpieniem na tron Kazimierza Wielkiego, żydzi mieli wolny wstęp do naszego kraju i dość licznie w nim osiadali; za panowania zaś ostatniego z Piastów, podwoje Polski gościnniej i szerzej jeszcze niż przedtem, otwarły się na przyjęcie nieszczęśliwych tułaczy, a wkrótce zaraz zbogacone żydostwo tłumnie rozsiadło się po całym kraju.

Jakie pobudki skłoniły Kazimierza W-go do nadania żydom tak wielkich w swoim czasie prerogatyw i przywilejów, różni różnie o tem twierdzą. Jedni kładą to na karb skłonności króla ku Esterce, inni upatrują w tem przyjęciu, chęć wprowadzenia w niezbyt przedsiębiorczy duch Słowian, nowego ruchliwszego pierwiastku — czyn godny wielkiego administratora i prawodawcy—inni nakoniec kładą to na karb charakteru i tolerancyjnego usposobienia Kazimierza, niezbyt chętnie ulegającego wpływom i radom duchowieństwa, zaciętego zawsze wroga żydów. Która z tych pobudek była główną, oto mniejsza, zapewne wszystkie przyczyniły się do tego potrochu; fakt się stał, a skutki jego dalsze, są dla nas ważniejsze, niż mgłą wieków pokryte przyczyny.

Żydzi zaraz w początkach swego przybycia do Polski, przeważnie zasiedli w miastach i w krótkim czasie ogarnęli cały handel wewnętrzny i zewnętrzny. Miasta nasze do Zygmunta Augusta szczególniej zaś za czasów Kazimierza W-go i Aleksandra, posiadały dość obszerne prawa, gdyż wpływ miast na prawodawstwo nawet był jeszcze dość znaczny i dopiero odjęcie mieszkańcom praw obywatelstwa za Zygmunta Augusta i późniejsze ograniczanie przywilejów innych, spowodowały upadek miast i zobojętnienie mieszczan na sprawy krajowe. Naturalnie że i żydzi po odjęciu miastom i wpływów i znaczenia, stracili także nadzieję zyskania kiedykolwiek rozleglejszych swobód—i to, w połączeniu z późniejszą nietolerancyą skłoniło żydów do zupełnego oddzielenia swych interesów od interesów społeczeństwa w którem żyli, odłączenia przybierającego nieraz cechy antagonizmu.

W skutek takowego stanu rzeczy ludność żydowska po tylowiekowem przebyciu wśród ludności wyższej od niej swą kulturą i oświatą, nie tylko nic nie straciła ze swego pierwotnego charakteru, nie tylko nie przyjęła od ludności miejscowej nic takiego, coby mogło wpłynąć na podwyższenie jej umysłowego rozwoju, ale przeciwnie odgrodziła się od niej tem wybitniej niż przed kilku wiekami, uformowawszy dziwne, rzadko spotykane zjawisko — odrębną społeczność w społeczności, budząc słuszne obawy o przyszłe losy obu.

Obie jednak strony dotąd, nie rozumieją dokładnie rzeczywistego położenia, tymczasem kwestya żydowska jest tak ważną, iż wszystko, co tylko zmierzać może do jej rozwiązania w sposób choćby najbardziej oddalony i paradoksalny, winno budzić najszczersze zainteresowanie ogółu, winno podlegać gruntownemu i drobiazgowemu rozpatrzeniu.

Ogół zaledwie instynktowo przeczuwa tę doniosłość; o całej zaś jej rozciągłości, o brzemiennych w następstwa skutkach, nie ma najmniejszego pojęcia.

Czy to jednak jest jego winą? Nie... Skądże i w jaki sposób miał dojść do świadomości położenia, jeżeli ci, którzy nim kierowali, tak zwani przodownicy społeczeństwa, o sprawie żydowskiej odzywali się prawie zawsze w sposób: że *„przyszły"* prawodawca lub administrator wiele będzie miał z tą kwestyą kłopotu!" Cóż więc miał o niej sądzić ogół?... Takie jak powyższe zdania z największą powagą wygłaszane, możecie znaleść w książkach i artykułach kilkadziesiąt, kilkanaście a nawet kilka lat temu pisanych. Czasy bezmyślnego powtarzania czczych frazesów przechodzą powoli; wypada więc abyśmy i w tym względzie doszli do ściślejszych, pozytywnych pojęć; dopóki zaś nie zdobędziemy się na to, dopóki ogół nie będzie miał ściśle wyrobionych i stale określonych pojęć o tem, co mu zagraża w przyszłości, dopó-

ty wszelka praca, wszelkie usiłowania, zmierzające do rozwiązania tej kwestyi, będą głosem wołającego na puszczy, gdyż nigdy nie znajdą w masach należnego poparcia.

Wszelkie zaś oderwane dowodzenia, chociażby nawet najściślej logiczne, nie są wstanie podnoszonej sprawy przedstawić we właściwej barwie, jeżeli nie będą oparte na gruncie realnym, jeżeli nie przedstawią dowodów i świadectw namacalnych, nawet dla najmniej wprawnego oka.

Takie dowody przedstawić może tylko statystyka, liczby, których ani podejść ani oszukać nie można; liczby, straszne nieprzepartą swą logiką. One wykażą w jak ciężkiem położeniu społeczeństwo nasze znaleść się może, jeżeli nie wytęży póki czas wszystkich sił na to, aby przyszła ludność żydowska z kasty żyjącej pracą produkcyjną ludności chrześcijańskiej, przekształciła się na ludność, która nie będzie ciężarem dla kraju i obali uciążliwe dla stron obojga *status in statu*. Co nas czeka jeżeli zawczasu nie pomyślimy o rozwiązaniu kwestyi żydowskiej zrozumiemy, porównawszy wzrost tuziemnej ludności chrześcijańskiej z ludnością żydowską.

Dla wykazania wzrostu ludności żydowskiej i porównania onego ze wzrostem ludności innych wyznań, weźmiemy krańcowe lata dwóch peryodów: 40-letniego od roku 1816 do 1856 i 16-letniego od 1856 r. do 1872. [1])

W roku 1816 ludność żydowska w królestwie wynosiła 212,944 głów, innych wyznań 2,519,380 głów.

To jest na 1,000 ogólnej ludności przypadało: żydów 78
innych wyznań 922

Po upływie lat 40-tu ludność wynosiła:
żydowska 571,678 głów
innych wyznań 4,125,241 „

To jest na 1,000 ogólnej ludności przypadało: żydów 122
innych wyznań 878

Z tych danych p. Wolski wyprowadził następujące wnioski:

a) że stosunek żydów do ogólnej ludności kraju jako i do ludności innych wyznań ciągle się powiększa;

b) że kiedy w ciągu lat 40-tu żydzi zyskali na 100 mieszkańców 169 głów, to ludność innych wyznań zyskała tylko 72 głów, czyli, że wzrost ludności starozakonnej jest 2½ razy szybszy, niż ludności innych wyznań;

c) że według rachunku, biorąc za podstawę do niego lata 1616 i 1856, ludność żydowska podwajać się może w lat 28 (choć w rzeczywistości prędzej się podwaja), kiedy ludność pozostała podwoić się może w lat 50;

d) że przy takowym wzroście ludność żydowska za lat 150 zrównać się może z ludnością wszystkich innych wyznań, a z ludnością rzymsko-katolicką w lat 120.“

Takie wnioski wyprowadził nasz statysta przed 16 laty; zobaczymy teraz czy wzajemny stosunek i wzrost dwóch ludności nie uległ i dotąd zmianie i czy tem samem wnioski pana Wolskiego zachowują i obecnie groźną dla nas prawdę.

[1]) Wiadomości statystyczne do 1856 r. czerpaliśmy z prac p. Wolskiego pomieszczonych w Kalendarzu Obserwatoryum Warszawskiego.

W roku 1816 ludność żydowska wynosiła 212,944 głów, innych wyznań 2,519,380 głów. W r. 1856 ludność żydowska 571,678 głów, innych wyznań 4,125,241 głów. W r. 1872 ludność żydowska 814,923 głów, innych wyznań 4,965,446 głów.

Ściśle obrachowanie wykazuje że w pierwszym peryodzie ludność żydowska powiększyła się o 349,734. to jest rocznie przybywało jej 8,744 głów, czyli wyrażając się zrozumialej, na 100 żydów rocznie przybywało 4%.

W tym samym peryodzie ludność innych wyznań powiększyła się o 1,605,861 głów.

To jest rocznie przybywało jej 40,146 głów, czyli na 100 mieszkańców przybywał 1,6%.

W drugim 16-letnim peryodzie ludność żydowska powiększyła się o 243,245 t. j. rocznie powiększała się o 15,202 głów, czyli rocznie na 100 przybywała 2,9%. Ludność innych wyznań w tym samym peryodzie powiększyła się o 840,205 t. j. rocznie powiększała się o 50,512 czyli na 100 mieszkańców rocznie przybywał 1,08%.

Z tego porównania wzrostu ludności w dwóch peryodach możemy wnioskować:

a) Że stosunek żydów do ogólnej ludności w drugim peryodzie równieżjak w pierwszym nie przestaje się zwiększać; bo gdy w roku 1856 ludność żydowska składała zaledwie ⅑ część ogólnej ludności, w roku 1872 już składa prawie ⅐ część ogólnej ludności.

b) Że stosunek ludności innych wyznań do ludności ogólnej z każdym rokiem zmniejsza się na korzyść ludności żydowskiej; bo gdy w roku 1856 na 1000 ogólnej ludności było żydów 122, a na 1000 ogólnej ludności innych wyznań 878, to w r. 1872 na 1000 ogólnej ludności było żydów już 141, a innych wyznań tylko 859.

c) Że w drugim peryodzie również jak w pierwszym, wzrost ludności żydowskiej jest przeszło dwa razy szybszy, niż ludności innych wyznań.

d) Że, chociaż normalny procent przyrostu ludności innych wyznań, nie zważając na jej większą liczbę, nie o ty le się zmniejszył, o ile zmniejszył się procent rocznego przyrostu żydów to większe zmniejszenie procent rocznego przybywania ludności żydowskiej nie wypada na korzyść tuziemnej, gdyż przyczyna nie tak znacznego zmniejszenia się przyrostu ludności innych wyznań, leży w ciągłym napływie Niemców.

e) Że nakoniec z przyczyn powyższych wniosek p. Wolskiego: iż ludność żydowska może się zrównać z ludnością innych wyznań za 150 lat a z ludnością rzymsko-katolicką za lat 120 pozostaje do dziś prawdziwym.

Tak więc *w drugiej połowie przyszłego stulecia, ludność miejscowa słowiańska będzie połową ogólnej ludności w naszym kraju.* P. Wolski kiedyś przed 18 laty nie wywołał swą pracą żadnego ruchu na tem polu, nie uwalnia to jednak nas i następnych pokoleń, abyśmy tej sprawy nie podjęli, przeciwnie jest to świętym obowiązkiem prasy, stojącej na straży najdroższych interesów społeczeństwa i obowiązek ten, jak mogliśmy spełniamy. *A. S.*

HISTORYA O PIĘKNYM PECOPIN I PIĘKNEJ BAULDOUR,

przez

Wiktora Hugo.

(Dalszy ciąg)

VII.

Przyjacielskie propozycye uczonego starca, ukrytego w chatce z liści.

Przyszedłszy do siebie, usłyszał słodki głos mówiący: Phismâ, co po arabsku znaczy: on jest w niebie. Poczuł na piersiach dotknięcie cudzej ręki, następnie zaś nieznany mu głos odezwał się: Lô, lô machi mouth, co znaczy: nie, nie, on nie umarł jeszcze. Otworzył oczy i ujrzał klęczących przy nim starca i dziewczynę. Starzec był czarny jak noc, z wielką białą brodą, spadającą na piersi w drobnych warkoczach, podług zwyczaju starożytnych magów, ubrany zaś był w zieloną jedwabną szatę bez szwu.

Młoda dziewczyna miała twarz koloru miedzianego, wielkie oczy z porcelany i usta z korali. W nosie i uszach miała wielkie kolczyki złote. Była zachwycającą.

Pecopin nie znajdował się już na brzegach morza. Podmuch szatański miotając nim na chybił trafił, rzucił go na dolinę pełną skał i drzew dziwnego kształtu.

Powstał.

Starzec i dziewczyna spoglądali nań łagodnie. Kiedy zbliżył się do jednego z drzew, liście zwinęły się, gałęzie podniosły w górę, kwiaty blado-białego koloru stały się czerwone i całe drzewo zdawało się przed nim cofać. Pecopin poznał wstydliwe drzewo, a stąd wywnioskował, że był przerzuconym do sławnego kraju Pudiferam.

Starzec dał mu znak i Pecopin poszedł za nim. Wkrótce potem starzec, Pecopin i dziewczyna siedzieli we troje na rozesłanej macie, w chatce z liści palmowych. Wnętrze tej chatki pełne drogich kamieni rozmaitego gatunku, jaśniało jak piec rozpalony. Starzec zwróciwszy się do Pecopina odezwał się po niemiecku: Synu mój, ja jestem człowiek, który wie wszystko, wielki kamieniarz etiopski, taleb arabski. Nazywam się dla ludzi Ziu-Eddin, dla geniuszów zaś Evilmerodach. Jestem pierwszym człowiekiem, który przybył do tej doliny, ty jesteś drugim. Życie moje przepędziłem na zdobywaniu od natury wiedzy rzeczy i na wlewaniu w rzeczy wiedzy ducha. Dzięki moim staraniom, dzięki moim naukom, dzięki promieniom co od stu lat spływają z moich oczu, w dolinie tej którą widzisz, kamienie żyją, rośliny myślą, zwierzęta wiedzą... Ja to nauczyłem zwierzęta użycia prawdziwych lekarstw, których człowiek nie posiada. Z mojej to porady pelikan leczy krwią własną swoje małe pokąsane przez żmije; ślepy wąż aby odzyskać wzrok zjada koper, niedźwiedź zagrożony kataraktą, drażni pszczoły ażeby go kłuły po oczach. Ja to przyniosłem orlicom, które są zbyt szczupłe, kamyki pomagające im w znoszeniu jaj. Jeżeli sójka przeczyszcza się bobkowemi liśćmi, żółw szalejem, jeleń dyptanem, wilk mandragorą, dzik bluszczem, tur-

kawka liściami jaskółczego ziela; jeżeli konie w razie przekrwienia, same otwierają sobie żyłę tylnem kopytem, jeżeli stelion w czasie lenienia pożera własną skórę, ażeby wyleczyć się z choroby ś-go Walentego, jeżeli jaskółka leczy choroby oczu swoich dzieci kamieniem kaledońskim, którego szuka aż za morzami; jeżeli łasica okrywa się matą chcąc walczyć z wężami, to zawdzięczyć to mogą tylko moim naukom... Dotąd nauczałem tylko zwierzęta, czekałem na człowieka. Ty przyszedłeś. Zostań moim synem. Jestem już stary. Zostawię ci moję chatkę, moje drogie kamienie, moję dolinę, i moję wiedzę. Ożenisz się z moją córką, której na imię Aissa i która jest tak piękna. Nauczę cię jak rozpoznać rubin gwiazdzisty od chryzolamu, jak złożyć matkę pereł w naczyniu pełnem soli; jak zapalić ogień w zgasłych rubinach, kładąc je w ocet. Każdy dzień leżenia w occie dodaje im na rok piękności... Przepędzimy słodko życie, zbierając kamienie i jedząc korzonki... Zostań moim synem...

— Dzięki ci szlachetny panie, rzekł Pecopin, przyjmuję propozycyą z radością.

Jak tylko noc zapadła, Pecopin uciekł....

VIII.

Chrześcijanin tułacz.

Błądził długo z kraju w kraj. Chcąc opowiedzieć jakie odbył podróże, trzebaby opisać świat cały.

Szedł z gołemi nogami lub w sandałach: jechał na wszystkich zwierzętach na których jeżdżą ludzie: na osłach, koniach, wielbłądach, żubrach, onagach i słoniach; płynął wszelkiemi statkami na jakich tylko płynąć można, na okrętach okrągłych Oceanu i na okrętach podłużnych morza Śródziemnego, oneraria et remiggia, na galerze i galionie, fregacie, korwecie, feluce, polace, tartanie, barce i tratwie. Bez trwogi wsiadał na drewniane karakory Indyan z Bantan i na szalupy skórzane Eufratu, o których wspomina Herodot.

Wszystkie wiatry go pędziły, levante-siroco i siroco-mezzogierno, tramontane i galerne... Przebył Persyą, Pegu, Bramas, Tagatai, Transiane, Sagistan i Hasubi. Widział jak Wincenty — Biały Monomotapę, jak Piotr Ordonnes—Sofalę, jak Pan z Finnów—Ormus, jak Acoszta—dzikich ludzi, i jak Malherbe de Vitre —olbrzymów; jak Hieronim Costilla, stracił na puszczy cztery palce u nogi. Był siedmnaście razy sprzedany jak Mendez-Pinto, był galernikiem jak Tekseus i o mało nie został eunuchem jak Parisol; przebył chorobę krajową od której giną negry, skorbut, który przerażał Avisennę i chorobę morską, nad którą Cyceron przenosił śmierć. Wdrapywał się na góry tak wysokie, że po przybyciu na szczyt, krew i flegma rzucały mu się ustami. Odkrył wyspę, którą nie szukawszy spotyka się czasem, ale której szukając nigdy znaleść nie można, i sprawdził, że mieszkańcy tej wyspy są dobrymi chrześcijanami. W Midelpalii, która jest na północy zauważył zamek w miejscu, w którym go nie ma; ale czary w owych stronach są tak wielkie, że nie można się temu dziwić. Bawił kilka miesięcy u króla Mogor Ekebas, dobrze widziany i lubiany przez tego księcia, o dworze którego opowiadał to wszystko co potem Anglicy, Hollendrzy a nawet i ojcowie jezuici napisali. Został uczonym, bo miał dwóch nauczycieli mądrości: podróż i nieszczęście. Studyował faunę i florę wszystkich klimatów.

Rozpoznawał kierunek wiatrów z wędrówki ptastwa i kierunek prądów z wędrówek pająków morskich. Widział w podmorskich krainach narwala piłę, wędrującego do bieguna północnego i narwala olbrzyma, wędrującego do bieguna południowego. Jak starożytny Grek Ulysses widział ludzi i olbrzymów. Widział wszystkie cudowne zwierzęta, romara, chrościela czarnego, garagrana podobnego do orłów morskich, antenalów wielkich jak gęsi, moruksony tak wielkie jak tiburony, peymony z wysp maldywskich, które jedzą ludzi, ptaka slaki rodzącego się w spróchniałem drzewie a nareszcie borurata, zwierzokrzewa w krainach Tartarów, który jest przyrośnięty do ziemi jednym korzeniem, a naokoło pożera trawę. Zabił na polowaniu morskiego trytona z gatunku yapiara, i wzbudził miłość trytona rzecznego z gatunku baëpapina. Pewnego dnia na wyspie Manar o 200 mil od Goa rybacy pokazali mu złowionych w sieci dziesięć syren. Słyszał nocny huk morskiego kowala, i jadł 153 rodzaje ryb morskich, które znalazły się wszystkie w sieci wyciągniętej przez apostołów na rozkaz Zbawiciela, podczas cudownego połowu. W Scytyi przebił strzałą gryfa, z którym wojował cały naród, ażeby zdobyć złoto strzeżone przez tę bestyą. Naród ten chciał go za to zrobić królem, ale Pecopin uciekł. Kilka razy okręta na których płynął rozbijały się, szczególniej około przylądka Gardatu, nazwanego przez starożytnych promontorium aromatorum—i przez tyle awantur, tyle błędów, trudów, nędzy, pracy i dowodów męstwa, dzielny i zacny rycerz Pecopin miał tylko jeden cel, odszukać Niemcy, jedyną nadzieję, wrócić do Falkenburga, jedyną myśl, zobaczyć Bauldour. Wiemy, że dzięki talizmanowi sułtanki, który bezustannie nosił na sobie, nie mógł ani zestarzeć się, ani umrzeć. Smutnie jednak rachował ubiegające lata. Kiedy przybił do północnych brzegów Francyi, pięć lat już upłynęło, odkąd widział ostatni raz Bauldour. Często myślał o tem i po całodziennej wędrówce upadając ze znużenia, siadał na przydrożnym kamieniu, gorzko płacząc. Nie tracił jednak odwagi i ożywiał się nadzieją. Pięć lat, myślał, tak ale cóż to wielkiego! Miała piętnaście lat, więc dziś ma wszystkiego dwadzieścia. Ubiór jego rozpadł się w łachmany, obuwie zdarło się, nogi broczyły krwią, pomimo to i radość i siły wracały na myśl o Bauldour i wesoło puścił się w dalszą drogę. Tak idąc dobił się nareszcie w góry Wogezy.

IX.

Co porabia karzeł w lesie.

Pewnego wieczoru po całodziennej wędrówce pomiędzy skałami, wśród których szukał przejścia ażeby dojść nad Ren, Pecopin napotkał las z samych klonów, wiązów i jesionów. Wszedł bez najmniejszego wahania. Po godzinnej jednak wędrówce, ścieżka którą biegł ciągle, zginęła na polance zarosłej wrzosem i dzikiemi jagodami. Obok polanki było bagnisko. Upadający ze znużenia, na w pół umarły z głodu i pragnienia, wycieńczony patrzył to w jednę to w drugą stronę, szukając chałupki albo smolarni, a wreszcie chociaż ogniska pozostawionego przez pasterzy. Nagle przeleciało koło niego stado ptaków wrzeszcząc i bijąc skrzydłami. Pecopin zadrżał poznawszy te ptaki, które robią gniazda pod ziemią i które wieśniacy z Wogezów nazywają kaczko-króliki. Odgarnął pęk ostrokrzewu i ujrzał naokoło kwitnące w trawie łomigłaz, dzięgiel, ciemiernik i genciannę. Kiedy nachylił się ażeby lepiej się o tem przekonać, upadła około niego skorupa ślimaka. Podniósł ją. Była to jedna z tych skorup ślimaka Volonii, które zawierają w sobie perły wielkie jak groch polny. Podniósł głowę i ujrzał bujającego nad sobą wielkiego puchacza. Pecopin mocno się zatrwożył, i rzeczywiście było czego. Te wrzosy, te jagody, rośliny czarodziejskie, ślimak, puchacz, wszystko to nie było uspakające. Mocno strwożony starał się odgadnąć gdzie się znajdował. W tem odległy śpiew doleciał do jego uszu. Natężył słuch. Był to głos zakatarzony, złamany, gardłowy, głuchy a jednak wrzaskliwy, którym niewidzialny śpiewak wygłaszał następującą piosnkę:

Jeziorko moje w cieniu ukryte,
Rodzi Neptuna i Amfitrytę,
Jeziorko moje nadaje życie
I Neptunowi i Amfitrycie..
Choć jestem karzeł mały nieznany,
Z kropelki tworzę dwa oceany.
Ażeby w letnią nie wyschły spiekę,
Więc im z ukrycia posełam mego,
Dla niej, Rodanu niebieską rzekę,
A Ren zielony w darze dla niego...
Choć jestem karzeł mały nieznany,
Z kropelki tworzę dwa oceany.
Morza mi hołdy niosą jak panu,
Ja z czarą siedząc na stromej skale,
Szafir wylewam w łoże Rodanu.
Szmaragdem Renu zielenię fale.
Choć jestem karzeł mały, nieznany,
Z kropelki tworzę dwa oceany....

Pecopin nie mógł już wątpić. Biedny podróżnik zmordowany, znajdował się w okropnym lesie straconych kroków. Ten las jest to ogromny bór pełen zakrętów, tajemniczości i labiryntów, wśród których spaceruje karzeł Roulon. Karzeł ten zamieszkuje nad brzegami jeziora będącego na szczycie jednej z gór wogezkich. Z jeziora tego jeden strumyk spływa do Renu, drugi do Rodanu, a zarozumiały karzeł już sądzi, że jest ojcem Oceanu i morza Śródziemnego. Największą dla niego jest przyjemnością, gdy chodząc po lesie obłąka przechodnia. Podróżny jeżeli raz wejdzie do lasu kroków straconych, nie jest w możności z niego wyjść nigdy. Ten głos, ta piosnka były to głos i piosnka złośliwego karła Roulona. Pecopin w rozpaczy upadł twarzą na ziemię wołając: Biada mi nieszczęsnemu, już nigdy nie ujrzę mojej Bauldour!

— Przeciwnie! ujrzysz ją, rzekł ktoś obok niego....

X.

Equis canibusque.

Pecopin powstał i spojrzał. Przed nim o kilka kroków stał jakiś wielki pan w pode-

szłym wieku, w wspaniałym myśliwskim ubiorze. Szlachcic ten był kompletnie uzbrojony. Piękny kordelas wisiał mu u pasa, przy boku zaś miał zawieszony róg bawoli nabijany cyną. W twarzy jego można było upatrzyć jakiś wyraz dziwny, nieokreślony i jaśniejący. Uśmiechał się oświetlony blaskiem zmroku. Ten stary myśliwy, ukazujący się tak niespodzianie w podobnem miejscu o tej godzinie, dziwnym zapewne zarówno wam jak i mnie się wydaje, w lesie jednak kroków straconych można tylko myśleć o Roulonie. Zresztą ten poczciwiec miał minę grzeczną, uprzejmą i pociągającą. Oprócz tego chociaż wystrojony był jak zapalony myśliwy, był tak już zużyty, tak stary, tak zgarbiony i skrzywiony, ręce miał tak pomarszczone i słabe, rzęsy tak białe i nogi tak wychudzone, że aż litość brała patrząc na niego.

Po bliższem rozpatrzeniu, w oczach starca widać było wyraz bezmyślnej płytkości, jaki u ogłupiałego dworaka często spotykać się daje.

— Czego chcesz odemnie, zapytał Pecopin.

— Oddać ci Bauldour, rzekł stary myśliwy ciągle uśmiechając się...

— Kiedy?

— Jak spędzisz jednę noc na polowaniu ze mną.

— Którą noc?

— Tę co zapada.

— I znów zobaczę Bauldour?...

— Jak tylko noc przejdzie, przy wschodzie słońca, doprowadzę cię do bramy Falkenburga.

— Ale ktoż to widział po nocy polować?

— No a dla czegóżby nie polować!

— Ej doprawdy, to jakoś dziwnie wygląda.

— Bah!

— I to musi być straszliwie męczące.

— Nie.

— Ale pan jesteś już taki stary.

— Cóż to cię obchodzi, dam sobie radę.

— Ale ja jestem zmęczony, ale ja szedłem dzień cały, ale ja umieram z głodu i pragnienia, rzekł Pecopin. Nawet nie będę miał siły wsiąść na konia.

„Stary pan odjął od pasa flaszę i podał mówiąc,“ pij!

Pecopin chciwie poniósł napój do ust. Zaledwie połknął kilka łyków, uczuł się ożywionym. Był młody, silny, potężny... Spał, jadł i pił. Zdawało mu się nawet, że pił za dużo.

— Chodźmyż więc, biegnijmy, polujmy całą noc. Zgadzam się; ale czy zobaczę Bauldour?

— Jak przejdzie noc, ze wschodem słońca...

— I cóż mi dasz za rękojmię dotrzymania obietnicy?

— Najprzód moję obecność, a potem i pomoc jaką ci przyniosłem. Mógłbym był pozwolić ci tu umrzeć z głodu, ze zmęczenia, z nędzy, oddać na łup karłowi Roulon, tymczasem ulitowałem się nad tobą.

Idę odpowiedział Pecopin. Rzecz umówiona—o wschodzie słońca w Falkenburgu.

Gola! jest tam który! przybywajcie dalej na łowy! krzyknął stary pan swoim zgrzybiałym głosem... Kiedy odwrócił się ku gęstwinie wołając, Pecopin spostrzegł, że nieznajomy był garbaty, gdy postąpił parę kroków... Pecopin spostrzegł, że nieznajomy kuleje.

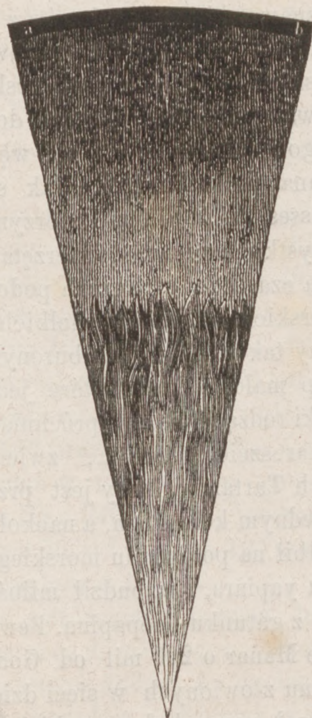


fig. 3. Grubość skorupy ziemskiej w stosunku do massy płynnej zawartej w jej głębi. (str. 57).



fig. 4. Formowanie się pierwotnych gór granitowych (str. 57).

Na wezwanie starego pana oddział jeźdźców przybranych jak książęta i wspaniałych jak królowie, wyszedł z gęstwiny lasu. W głębokiem milczeniu uszykowali się rzędem przed starym panem, który zdawał się być ich dowódcą. Wszyscy byli uzbrojeni w noże lub oszczepy; on jeden miał róg. Noc zapadła; ale naokoło strzelców stało dwustu służalców trzymających dwieście pochodni.

— Eb bene, powiedział stary, ubi sunt los perros?

Ta mieszanina łaciny, włoskiego i hiszpańskiego niepodobała się Pecopinowi.

Stary krzyknął niecierpliwie: Psy! dawaj psy! Zaledwie dokończył gdy przeraźliwe szczekanie napełniło polankę. Psiarnia ukazała się. Cudowna psiarnia; prawdziwie cesarska... Służalce w żółtych kaftanach i różowych pończochach, psiarczyki o dzikiej twarzy, i murzyni cali nadzy, trzymali ją silnie na smyczach. Kompletniejszego doboru psów wyobrazić sobie nie można; były tam wszystkie gatunki poustawiane parami, podług rasy i zalet.

Pierwszą grupę składało sto brytanów angielskich i sto chartów, tuzin buldogów do zagryzania i tuzin psów do szczwania.

Drugą grupę składały wyłącznie psy barberyjskie białe w różowe centki, dzielne psy nie lękające się żadnego hałasu, których piękność trwa trzy lata, w swoim kraju są używane do pilnowania bydła i na wielkie łowy.

Trzecią grupę składał cały pułk psów z Norwegii, skóra ich płowa i gładka z różowym odcieniem i z plamkami białemi na czole i na szyi. Mają one wyborny węch i szczególniej nadają się do polowania na jelenie, niektóre z nich były nakrapiane na grzbiecie, z nogami obrosłemi jak u zająca albo czarno podpalonemi. Były tak znakomicie dobrane, że nie było ani jednego mieszańca. Pecopin, który znał się na tem dobrze, nie mógł upatrzyć pomiędzy płowymi psami ani jednego podpalanego, pomiędzy zaś nakrapianemi ani jednego psa z płowemi nogami. Wszystkie były wyborne i najczystszej krwi.

Czwarta grupa była przerażająca. Były to te okropne brytany na krótkich nogach z Saint-Aubert w Ardenach. Z nich to rodzą się straszliwe psy gończe co zagryzają na śmierć dzika, lisa lub niedźwiedzia. Jak norwegskie tak i te były z najlepszej rasy, prawdziwa psia szlachta, każdy z nich mógł zębami dobrać się do serca. Miały maleńkie łby więcej długie niżeli szerokie, paszcze czarne ale nie czerwone, ochlapłe uszy, nogi pokrzywione i szeroko rozstawione, grzbiet muskularny, uda podkasane, przeguby wyraźne, ogony przy nasadzie grube, dalej zaś cieniutkie, skórę pod brzuchem pomarszczoną, silne pazury i suchą stopę podobną do lisiej łapy.

Piąta grupa to same psy wschodnie. Musiały szalone summy kosztować, bo widać było psy z Palimbotry, co zagryzają byka, psy z Ciutigu, co rzucają się na lwy, psy z Monopotapy, z których jest uformowaną gwardya cesarza Indyjskiego. Wszystkie angielskie, barberyjskie, norwegskie, ardeńskie i indyjskie szczekały zapamiętale. Żaden parlament z pewnościąby ich nie przekrzyczał. Pecopin był zachwycony tą psiarnią. Żyłka myśliwska z całą werwą odezwała się w nim. Skąd się ta psiarnia wzięła, nie można było żadnym sposobem odgadnąć, na chwilę przed ukazaniem się ani jej słychać nie było. Zjawiła się nagle niespodziewanie... d. c. n.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Epoka pierwotna.

Jeżeli sobie wyobrazimy ziemię w postaci pomarańczy, to obwinięcie jej papierem trzecią część milimetra grubości (nieco więcej nad $^{1}/_{100}$ cala polskiego), przedstawia nam stosunkową grubość skorupy ziemskiej.

Ściślej biorąc, długość promienia naszej planety, wynosi 1,584 mil francuskich, zatem średnica złożona z dwóch takich promieni, wyrazi nam liczba 3,168 mil fran. Ponieważ skorupa ziemska ma 12. mil fran. grubości, przedstawia więc ona $1/_{260}$ część średnicy, a $1/_{130}$ promienia ziemskiego. Stosunek ten wyobraża nam figura 3-ia.

Niepodobna nam oznaczyć nawet w przybliżeniu, upływu czasu jakiego potrzebowała ziemia do zeskorupienia na swej powierzchni.

Pierwsza warstwa tej skorupy, nie mogła opierać się ognistemu oceanowi jaki tlił pod jej powłoką, i z kolei cofał się lub wzbierał w skutek przyciągania księżyca i słońca. Nie możemy zresztą mieć nawet słabego wyobrażenia, o wylewach roztopionych materyj które przedzierały skorupę ziemską, ani o straszliwych kataklizmach, jakich areną była powierzchnia naszej planety. Nie ulega przecież żadnej wątpliwości, że tu i owdzie ziemia rozpadała się, a przez jej szczeliny wylewał się płynny granit, który następnie zastygał. W ten sposób wyformowały się najwyższe góry, i wytworzyły się żyły metaliczne miedzi, cynku, antymonu i ołowiu.

Drzeworyt oznaczony figurą 4, przedstawia formowanie się góry granitowej, z wylewu granitu wewnątrz ziemi zawartego.

Jednakże wszelkie wylewy granitu, i innych materyj zapełniających rozpadliny ziemne, nie dochodziły do jej powierzchni, a tylko w jednych miejscach wytworzyły wzgórza, w drugich zapadłości, co wpłynęło na zmianę pierwotnego wyglądu ziemi. Tymczasem nasza planeta oziębiała się coraz więcej, i wybiła godzina, w której jej temperatura nie mogła już utrzymywać w stanie pary, olbrzymich mas wody zapełniających jej atmosferę. Wówczas to para wodna oziębioną została w tym stopniu, że skropliła się i na ziemię spadły pierwsze deszcze. Zaznaczyć tu winniśmy, że były to deszcze wrzące, gdyż w skutek znacznego ciśnienia atmosfery, temperatura wody spływającej z powietrzni, w ulewnych potokach, przechodziła 100 stop. ciepła (fig. 5). Pierwsza kropla deszczu spadająca na rozpaloną jeszcze powierzchnię kuli ziemskiej, otwierała dla niej nowy okres dziejowy, w którym wystąpiły skutki tak mechaniczne jak i chemiczne. Para wodna zmieniona w wodę, spadając w deszczu na ziemię, przetwarzała się natychmiast w parę, w skutek wysokiej temperatury tejże powierzchni. Para ta będąc lżejszą od atmosfery, wznosiła się w jej warstwy najwyższe, gdzie oziębiała się, zgęszczała i w rzęsistych strumieniach spadała na ziemię, aby niezwłocznie zmienić się w parę a następnie rozlać w takichże potokach na ziemi. W skutek tego nieustannego boju wody z ogniem, deszczów z rozpaloną skorupą naszej planety, ta stopniowo utracała ciepło rozpraszające się w przestworach niebieskich.

W ten sposób woda co raz więcej napływała na powierzchnię ziemi, a ponieważ z parowaniem jej łączy się zawsze wywiązywanie elektryczności, jasną jest rzeczą, że potężne masy wody parującej, rodziły silne wybuchy elektryczne. Błyskawice olśniewające i straszliwe gromy piorunowe, biorąc udział w tej walce żywiołów rozdzierały atmosferę. Niepodobna nam wskazać chwili w której zakończyła się ta walka — dość nam wiedzieć, że w końcu woda nad ogniem odniosła zwycięztwo, i zalała całkowicie powierzchnię ziemi.

Owóż w pewnej epoce niezmiernie od nas odległej—w pierwocinach że tak powiemy naszej planety, kolosalny ocean zalewał całą ziemię. Od tej chwili zaczął się okres stopniowego jej rozwoju, przerywany wybuchami skrystalizowanego kwarcu, feldspatu i miki. Jeżeli w tym składzie mika przeważa, nazywamy granit *gnejsem*. Feldspat wchodzący w skład granitu, jest minerałem łatwo ulegającym rozkładowi, pod wpływem wody tak zimnej jak i wrzącej, lub też kwasu węglanego znajdującego się w powietrzu. Owóż działanie chemiczne wody i powietrza, oraz działanie chemiczne a zarazem mechaniczne wód gorących, jakie tworzyły ocean powszechny w pierwotnej fazie kuli ziemskiej, zmieniło znacząco naturę skał granitowych, stanowiących naówczas łożysko morza. Deszcze wrzące spadając na cyple górskie i iglice granitowe, oraz potoki wód przerzucające się po ich stokach lub przerzynające doliny, rozkładały rozmaite krzemiany tworzące feldspat i mikę. Ze szczątków ich powstały niezmierzone ławice gliny i piasku kwarcowego, które były pierwszemi warstwami zmienionemi działaniem wód i powietrza—pierwotnemi osadami morza.

Gliny pochodzące z tego rozkładu skał feldspatowych i mikowych (łyszczykowych), posiadały temperaturę właściwą gorącym warstwom ziemi, a tem samem były roztopionemi. Następnie oziębiły się i przyjęły ustrój wpółkrystaliczny, łupkowy.

W ten sposób wytworzyły się pierwsze gliny i skały łupkowe; stąd też łupki pierwszych warstw osadowych, spoczywają bezpośrednio na pokładach pochodzenia ogniowego.

W końcu tej pierwotnej epoki, kula ziemska prawie na całej swej powierzchni była zalaną wodami gorącemi i mulastemi, tworzącemi morza niezbyt głębokie. Nieliczne wysepki granitowe, formowały na tych morzach rodzaj archipelagu.

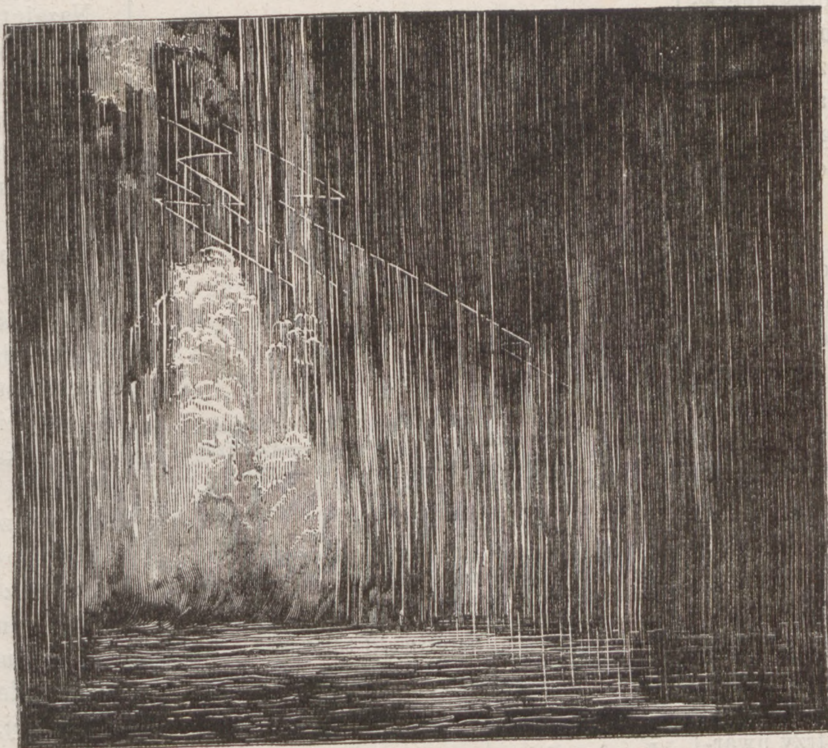


fig. 5. Pierwotne deszcze wrzące, spadające na kulę ziemską. (str. 57).

W ciągu długich upływów czasu, skorupa ziemska powiększała swą grubość w stosunku odpowiadającym zastyganiu materyj płynnych, jej przyległych, ulegających oziębieniu. Wszelako spokój nie zapanował jeszcze na ziemi. Skorupa jej nie mogła stawiać wielkiego oporu naciskowi gazów i materyj płynnych, w jej wnętrzu istniejących. Te gazy i płyny wielokrotnie ją rozdzierały i wydymały, formując w ten sposób góry, które już nie były wyłącznie granitowemi, lecz składały się ze skał łupkowych, pierwotnie w morzach osadzonych.

Obok tego ziemia ciągle oziębiając się, kurczyła się, to jest pomniejszała swą objętość a tem samem zmieniała pierwotne obrysy swej powierzchni. Wytwarzały się naówczas w skutek tego procesu, rozpadliny w głębi ziemi, zapełniane materyami płynnemi wypełniającemi jej wnętrze, a mianowicie granitem i żyłami metalicznemi. Rozpadliny te ułatwiały przepływ potokom wód wrzących, nasyconych solami mineralnemi, jako to: krzemionką, dwu-

ognia wewnętrznego, jaki tlił pod jej powłoką nie dość jeszcze zeskorupiała.

Dla zdania sobie sprawy z wielce zawikłanego procesu mechanicznego i chemicznego, zachodzącego na ziemi w skutek oddziaływania wód wrzących na jej skorupę, potrzeba nam poznać skład tejże. Pierwszą skałą będącą, że tak się wyrazimy, rusztowaniem ziemi, na którem ułożyły się wszelkie inne jej warstwy — jest *granit*.

Skała ta jest związkiem krzemianów glinki, potażu i sody. Kwarc stanowi krzemionka mniej lub więcej czysta, a często skrystalizowana; feldspat przedstawia się w postaci materyi krystalicznej, białej, złożonej z krzemianu glinki i z krzemianu potażu lub sody. Feldspat potażowy nazywamy *ortoklasem*, sodowy *albitem*. Mika w naszym języku często nazywana *łyszczykiem*, jest krzemianem glinki i potażu, zawierającym magnezyę i tlenek żelaza. Granit zwany też *ziarnowcem* z powodu swej budowy ziarnistej, jest mieszaniną

węglanami wapna i magnezyi, które łączyły się z rozległym oceanem pierwotnym, i osadzały w jego łożysku.

Wylewy granitu i rud metalicznych wrzynających się pod skorupę ziemską, powtarzały się wielokrotnie w czasie epoki pierwotnej. Stąd też starożytne warstwy ziemi, prawie zawsze poprzedzielane są pokładami tych skał i żyłami obfitującemi w związki metaliczne, jako to: w tlenki miedzi i cyny, w siarczyki ołowiu, antymonu i żelaza, z których dziś górnik korzysta.

Wtajemniczając czytelnika w geologiczny układ ziemi, wypada nam poznajomić go z *pokładami pierwotnemi*. Warstwy tego rodzaju, zajmujące niewielkie przestrzenie w środkowej Europie, napotykamy niemniej na północy tej części świata i w północnej Ameryce, na płacie daleko rozleglejszym.

Gdziekolwiek dość głęboko można było rozkopać ziemię, natrafinno na łupek mikowy spoczywający na granicie, stanowiącym jakby podstawę wszelkich warstw osadowych. Powiedzieliśmy wyżej, że granit tworzy pierwszy pokład ziemny, jaki zeskorupiał w jej wnętrzu w skutek wystygania naszej planety; wszelako łupek mikowy sformował pierwszą zewnętrzną jej skorupę, w czasie gdy oziębianie się ziemi pozwoliło mu przejść w stan stały. Ogół skał krystalicznych tworzących pierwotny pokład warstwowany, nie zawiera w sobie ani piasków, ani głazów, co wskazuje, że wyformowanym został bezpośrednio przez wodę, działającą tu w tenże sam sposób, jak przy wytworze nowszych warstw osadowych. Pokład ten nie obejmuje żadnego szczątka ciał organicznych, gdyż w tej epoce, życie nie mogło się przejawić na rozpalonej powierzchni naszej planety.

Myliłby się wielce ktoby sądził, że warstwy oznaczane przez geologów nazwą *pierwotnych*, złożone są wyłącznie z granitu; działanie bowiem powietrza i wód wrzących które wywierały silne ciśnienie, zmieniło w znaczącym stopniu granit. Oprócz tej skały, napotykamy w warstwach pierwotnych trzy uwarstwienia, a mianowicie: *łupek mikowy*, *gnejs* i *łupek chlorytowy*.

Ławica łupku mikowego, będąca elementem głównym, przedstawia się w postaci minerału przezroczego i sprężystego, który pozyskał nazwę *miki*. Jest on skupieniem wielkich mas łupkowych, zwanych *łupkiem mikowym*. W zetknięciu z granitem występuje formacya odmienna od poprzedniej, z powodu feldspatu jaki zawiera w ilości rozmaitej: oznaczamy ją nazwą *gnejsu*. Profesor Fournet z Lyonu, kwestyonował pochodzenie gnejsu, równie jak granitu, którego nie zaliczał bynajmniej do skał ogniowych. W rzeczy samej, gnejs występuje pod postacią granitu blaszkowatego, co wskazuje że jest jego odmianą. W każdym razie budowa warstwowana tego minerału, nadaje mu pewne podobieństwo do skał osadowych, chociaż pochodzenie gnejsu nie ma z niemi żadnego łącznika. Ławice łupku mikowego i gnejsu, tworzą czwartą lub piątą część grubości skorupy ziemskiej.

Znachodzimy je we Francyi w okolicach Lyonnais, Limousin, Lozère, w Cewennach, Owernii, Bretanii, Wandei, Wogezach i t. p. Warstwy te nieużyteczne dla rolnictwa, lecz wielce pożądane dla górnictwa, obfitują w żyły metaliczne. Natrafiamy w nich na złoto i srebro (w Saksonii), miedź (w Falhun, mieście szwedzkiem), tlenek cyny i żelaza, oraz kamienie drogocenne, jako to: granaty, rubiny, korundy i t. p.

Po *łupku mikowym* i *gnejsie*, warstwy pierwotne obejmują *łupek chlorytowy*, minerał cechujący się obecnością *chlorytu* (zielonki), zabarwionego przez krzemian żelaza kolorem zielonym.

Łupki chlorytowe występują w wielu miejscowościach Langwedocyi, a głównie w Lyonnais, i poprzerzynane bywają mnóstwem żył metalicznych. W Alpach, tudzież w Alleward, Allemond, Cogne, Saint-Marcel, Chessy i Saint-Bel, Alagna i Pestarena, łupki chlorytowe zawierają w sobie żyły miedzi, platyny, srebra, złota i manganezu, oraz tlenku żelaza i spatu żelaznego, będącego węglanem tlenku żelaza w stanie krystalicznym. d. c. n.

ROK W KRAKOWIE.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

(1874 i 1875).

F. M. Eysymonta.

(dalszy ciąg).

II.

Niewesoło. Jeszcze prof. Łepkowski. — Muzeum archeologiczne wszechnicy Jagiellońskiej. — Podróżni z Polesia. — Wycieczka do kopalń Wieliczki. — Ludwik Czempiński, archeolog szwedzki. — Przybycie K. Wł. Wojcickiego z Warszawy. — Wieczory literackie. — Józef Kremer. — A. K. Kirkor. *Wspomnienia* Wojcickiego w „Ognisku domowem." — Przybycie Ant. Marcinkowskiego z Kijowa i Teodozego Moszyńskiego z Podola. — Lucyan Siemieński. — Wycieczka na mogiłę Kościuszki. — Spotkanie z J. Kremerem w muzeum starożytności akademii. — Książki pamiątkowe. — Dyrektor akademii profesor filozofii Dr. Józef Kremer, etyk i estetyk w życiu i pismach. — Porównanie z Libeltem.

I nudno, i smutno, człowiek sobie rady dać nie może, w pierwszych dniach oddalenia od stron rodzinnych; gdy się wie że wiele upłynie miesięcy, zanim znowu się powita drogie oblicza. Tęsknota niewypowiedziana, serdeczna.... Nie chce się nigdzie iść, nic widzieć, chociaż tyle się marzyło o tym drugim Rzymie w miniaturze, chociaż jest w nim tyle do widzenia. List jakiś, słów kilka ręką pokrewną lub przyjazną skreślone, są milsze, pożądańsze w tej samotni ducha, próżni przepełnionej wspomnieniami.

Gdy samotność mgły nawieje,
Pamięć drogich tak jest drogą,
Taką błogą, taką błogą,
Wspomnień jaźnią pierś obwieje;
Że ten z serca sercu datek
To rozrzewni, i rozczuli,
To ogrzeje i przytuli,
By rodziny mały światek,
By serdeczne matki łono!....
Ot i chłód już nie tak ziębi,
I coś zadrga w tajnej głębi
Struną duszy wypieszczoną.

Temi słowy kończyłem raz moję odpowiedź na list odebrany z domu, gdy ktoś zapukał do drzwi. Po chwili pełen wyśmienitego humoru profesor Łepkowski prosił mnie do siebie na wieczorną herbatę. Piliśmy ją po wiejsku pod rozłożystym jaworem, a szanowna profesorowa, gdym był jej przedstawiony, pytała męża na ucho: — Czy to ten, co pisze? czy ten, co rysuje? Profesor tajemnicze zapytanie zdradza, śmiejemy się więc wybornie, prawi o okrzeskach i urnach, chcąc mię do archeologii zachęcić, wylicza pozostałe kielichy Dąbrówki i Mieczysława, proponuje zająć się rozprawą na premium: *O zabytkach sztuk pięknych w dawnej Polsce, z epoki Piastowskiej*, do której się też wkrótce wziąłem, wreszcie zwraca się do swoich trzech małych synków i córeczki: — Ponapychajcież sobie dzieciaki, brzuszki wasze, a potem przynieście no tu mappę, niechaj wam na niej pan pokaże Polesie skąd przyjechał, i dodał zwróciwszy się do mnie: — A jutro zapraszam jegomości ze mną do gabinetu archeologicznego. Dalejże jegomość, do pracy, a nudota i tęsknota ani śmią wam nosa pokazać, taka historya wyjdzie.

Nazajutrz o naznaczonej godzinie poszedłem do gabinetu archeologicznego, który się mieści w pięknym i wspaniałym gmachu biblioteki akademii jagiellońskiej. Nie był to rzeczywiście *gabinet*, lecz z prawdziwą nauką w urządzeniu zbiorów małe europejskie muzeum.

W towarzystwie wracających z wód Francensbadzkich państwa J... z Polesia Radomyskiego, zrobiliśmy wycieczkę do Wieliczki. Dzień był pogodny, a co ważniejsza, galowy, kiedy kopalnie oświecone i należycie przygotowane na przyjęcie licznych gości, co się zdarza zaledwo kilka razy do roku.

Odległa o dwie stacye kolei żelaznej od Krakowa, znana z swych żup solnych już w w. XII, co się potwierdza z przywileju, danego przez papieża Grzegorza IX w r. 1229 benedyktynom tynieckim, ustrojona aureolą legendy cudownego jej odkrycia w r. 1238 za pomocą pierścionka świętej Kingi, królewny węgierskiej, żony Bolesława Wstydliwego, Wieliczka jest najdawniejszą i najbogatszą w Europie, i ani Paryat siedmiogrodzki, ani kopalnie Kardońskie w Hiszpanii, przewyższyć ją nie są w stanie. Należy ona do najpiękniejszych cudów świata podziemnego, świata pełnego czarów i dziwnego uroku. Sól kryształowa dobywana w niej przeważnie w trzech pierwotnych gatunkach: *zielonej*, gdyż taką się wydaje w podziemiu; *spiżowej*, co wzięło nazwę od robotników ze Spiża, ciemno-szarej z podłużnych kryształów o dyamentowych blaskach, i najczystszej przezroczej *szybikowej*, leżącej pod dwoma pierwszymi pokładami, a dobywanej w szybach; sól ta dała i da jeszcze krajowi nieprzeliczone miliony. Kopalnie ciągną się od wschodu na zachód; długość ich wynosi 1500, szerokość 500 sążni wiedeńskich, a głębokość blisko półtorasta sążni i sięga niżej poziomu oceanu. Pierwsze w nich schody do spuszczania się na dół wystawione były dopiero przez króla Jana III; obecnie z sześciu szybów, czyli studni, którędy górnicy spuszczają się do robót i sól się na powierzchnię wywindowuje, tylko szyb założony w r. 1812 pod nazwą cesarza Franci-

szka posiada schody i jest wolnym do zwiedzania.

Przy drzwiach szybu cesarza Franciszka ścisk ogromny, mieszanina strojów i narodowości, stanów porównanie; gdy młodzież krakowska w ogóle grzecznością nie grzeszy i do niej nie skora, wyjątkowa grzeczność nawet wykwintniejszych kawalerów-galantów dla dam swoich na nic się tu nie zda: wszyscy pchają się, cisną się, by nad styksowym przewozem. W sali na lewo odbywa się komiczna maskarada: goście, panowie i panie przywdziewają na się długie do ziemi brudno-białe płaszcze, niekiedy takież kołpaki, wyglądają jak w śmiertelnych koszulach; inni wywracają podszewką na wierzch swoje surduty, pidżaki, burnusy, aż śmiać się chce. Jedni spuszczają się wprost po schodach, drugich partyami po czterech, spuszczają na kwadratowej desce, za pomocą bloków i lin w głąb ciemną i czarną. Lecimy dwie minuty: oryginalna, osobliwsza podróż! — Nareszcie! — Teraz już wszyscy idą po schodach coraz głębiej w wąskich korytarzach solnych, oświeconych lampami i pochodniami górników; setki, może tysiące ludzi. Co krok mijamy inne ciemne boczne korytarze, człowiek porył te nory jak kret w podziemiu; wieki całe błądzićby tu można i nigdy nie wyjść samemu.

Zeszedłszy po 360 schodach, wstępujemy do kaplicy św. Antoniego. Półświatło dziwnie się odbija w ścianach solnych. Chrystus ukrzyżowany w ołtarzu, kazalnica, statuy, wszystko wykute z soli. Tu dwa razy do roku kapłan spełnia pamiątkę przenajświętszej ofiary. Idziemy dalej, i minąwszy imponującę straszną wspaniałością komorę „Urszuli,“ wchodzimy po 120 stopniach do jeszcze czarowniejszej komory „Michałowice.“ Otchłań, piekło dantowskie, największa grota w świecie, arcydzieło przyrody! Długość jej 145 stóp, szerokość 85, a wysokość około stu dziesięciu wyobraźcie sobie! Czarne pieczary załomy, jakby duchy, jaskinia dziwów podziemnych, a ręka człowieka stała się tu wyższą nad pierwowzór natury. Czuje się przerażenie okropności i osłupienie zachwytu. Gdy w tem tysiąc głuchych i strasznych grzmotów rozdziera przepaście, dziko huczy, echem odbija się w każdym ich załomie: to niespodzianka przez górników urządzona; to mina prochowa rozrywa skały solne. Głos trąb i kotłów z galeryi o 12 sążni wzniesionej napełnia powietrze, hymny krajowe w piersi ci się odbijają, a ciemna urocza nad wszelki wyraz przestrzeń rozświetla się bengalskiemi ogniami, elektrycznem słońcem Drumonda. To grota Fingala, zaczarowana kraina piękności, obraz, z „tysiąca nocy.“ W tej chwili dwóch górników na linach, których nie widać, wznoszą się powoli w górę, by duchy w milionach ognistych iskier, sypiących się z ich czterech pochodni, któremi w powietrzu zakreślają magiczne koła; muzyka cichnie, a z za piętrzysk czarnych soli, brylantujących się od skier pochodni i bengalskich ogniów, by elfów powietrznych, rozlega się hymn narodowy skrytych za niemi górników. Zachwyt najwyższy napełnia umysły i serca gości; naraz tysiące ich piersi porywają pieśń górniczą, a echa dziwnie im wtorują. Rakiety, sztuczne fajerwerki, cyfra cesarza Franciszka, brzmiąca muzyka i głośne krzyki: „hurra!“ „wiwat!“ zakończają ten obraz, godny zaiste, najświetniejszego i najpotężniejszego pędzla.

Z tej jaskini czarów, otchłani uroków, w której środku wisi najcudniejszy żyrandol z kryształów soli o 300 świecach, z tej znowu ossyanowsko-ciemno-smętnej groty Fingala, gdzie kilkadziesiąt sążni wysoko wiszą soli urwiska, massy całe, wychodzi się przez sztuczną bramę i idzie się wykutymi w soli korytarzami podziemnej żelazno-konnej kolei. Przechodzimy przez komorę „Fryderyka Augusta,“ i w komorze „Kloski“ idziemy w górę zdumiewającym mostem, o filarach z soli, rzuconym nad przepaścią przeszło 270 stóp głęboką, dziełem polaka Witkowskiego w r. 1770 dokonanym. Tu nad tobą i pod tobą obrazy *Boskiej komedyi* dantowskie, obrazy człowieka, który „piekło widział.“ Idziesz dalej — oto Styks podziemny, czarne jezioro w ogniach lamp, a nad niem niezmierzona okiem grota ponura, mroczna, straszna, jak potępienie, dzika i smętna, jak duch czysca, dziwna, jak dziwno w twej duszy. Ciemne wody jeziora szeroko rozlane, Charon u przewozu czeka, kilku z gości wsiada na prom przewoźny; już płyną, płyną, a otchłań cała znowu się napełnia harmonijną muzyką hymnów krajowych. Cudne, roskoszne, nienaśladowane piórem obrazy! Piekło z rajem się miesza.

Po nad tem słonem jeziorem wznosimy się w górę, i stamtąd widok na jezioro w dole jest najromantyczniejszy. Uszedłszy zaś czas jakiś, wchodzimy do sali rzęsiście oświetlonej, mającej dobrą posadzkę. Wszystkie widziane w komorach posągi, rzeźby, ozdoby, jak również całe przystrojenie piękne tej sali są wykute z soli, tylko z soli. Naprzeciw wchodu na cześć gości umieszczony piękny transparent; muzyka na galeryi grzmi mazura, niezmęczona młodzież idzie w tany, weselli, że aż lubo! Tu się zakończa podziemna pielgrzymka. Idziemy w górę — i znowu czeka nas 360 stopni, lub osobliwsza podróż windująca w górę swych gości, by towar soli kopalnej. Kilka godzin spędziliśmy w nocy podziemiów, teraz dzień, blask słoneczny razi oczy nasze, dziwnym się wydaje; ulicznikostwo zaś otacza każdego wywindowanego, naraz po kilku, czyści buty, odzienie, że się wyrwać trudno. Sypią się centy, kupują pamiątki, drobne wyroby solne; potem spaceruje się trochę w pięknym miejskim ogrodzie, pije się kawa w restauracyi, i — marsz wieczorem napowrót do Krakowa. d. c. n.

PRZYCZYNKI DO RACYONALNEJ PEDAGOGII

zebrał

A. Szymański.

I.

Indywidualność dzieci.

Smutne objawy naszego życia publicznego najsilniej uwydatniają się we wszystkiem, co tylko w jakikolwiek sposób dotyczy wychowania przyszłych pokoleń. Mówimy tu o wychowaniu domowem, a uparte i bezmyślne ignorowanie tej ważnej strony ludzkiego życia, słusznie przejmuje strachem wszystkich badawczo patrzących w przyszłość.

Żadna kwestya w ubiegłem dziesięcioleciu nie była tak często podnoszoną, jak sprawa domowego wychowania, i żadna też z podejmowanych nie ulegała tylokrotnemu rozbiciu o chiński mur zacofania: żadna nie napotkała tylu zapór, trudnych do przebycia. Ojcowie i matki, młodzi i młode chętnie czytują choćby spekulacyjną tandetę, byle tylko nie dzieła pedagogiczne; z drugiej znowu strony i nasi szanowni literaci wolą suszyć głowy nad układaniem intryg i innych wysoce efektownych sytuacyj w konkursowych komedyach; wolą kruszyć gęsie kopie o małpie rodowody, niż zniżyć się z wysokości zajmowanych piedestałów do maluczkich spraw dziecięcego świata.

Zresztą głos w tej sprawie zastrzegamy sobie na później a dziś, zaznaczając ją tylko przechodzimy do naszych „przyczynków.“

Wiadomo powszechnie, że wychowanie przyszłych pokoleń, u nas stoi dziwnie osamotnione. Wskazaliśmy poprzednio [1]), że społeczeństwo nasze nie pracuje wcale nad przygotowaniem i wytworzeniem sobie przyszłych obywateli, rozumiejących swe zadanie; w niniejszej znowu pracy postaramy się wykazać, że oprócz tego większość naszych wychowawców, nie ma najmniejszego pojęcia o należytem rozwoju tych nawet indywidualnych sił małych ludzi, które rozwinięte i wykształcone jak należy, posiadaczowi ich przedewszystkiem przyniosłyby czysto osobiste, nie dające się niczem innem zastąpić korzyści.

Przeważna część wychowawców nie tylko nie rozwija w dzieciach tych sił, ale zabija je systematycznie i zapomina, a raczej nie wie o tem, że bez troskliwego pielęgnowania takowych, nie może być mowy o wyrobieniu rozumnej, samodzielnej jednostki.

Nasze wychowanie daje nam ludzi bez woli charakteru, bez zasad i przekonań; pielęgnuje i wypieszcza tysiące maryonetek, przewracających się za najlżejszym podmuchem przeciwnego wiatru, które są raczej parodyą aniżeli podobizną, tych istot co do Boga dążyć mają.

Są wprawdzie szczęśliwcy, pocieszający się tem, że stulecia tylko wydają wielkich; ale nie o wielkich tu mowa; żądania nasze są nierównie skromniejsze. Chcemy ludzi umiejących żyć samodzielnie, bez oglądania się na pas przewodnika; umiejących pracować nie koniecznie pod naciskiem żelaznej potrzeby, a w ostatnim wypadku, nie upadających na siłach ale przykładem swym pociągających słabszych za sobą; chcemy ludzi mających własną wolę, silny, niezłomny charakter, przekonania wyrobione pracą i doświadczeniem, poczucie własnej godności i poszanowanie jej w innych.

O jednym z kapitalnych kroków przygotowania i kształcenia takich ludzi mówić tutaj będziemy.

Żadna praca nie może być podjętą, jeżeli nie wiemy nad czem i w jakim kierunku pracować mamy, a my wieki całe pracowaliśmy w ten

---

[1]) W roku zeszłym.

sposób. Z uczuciem politowania zapewne spojrzy kiedyś przyszłość na niedołężną pracę swych ojców, na pedagogów naszych szczególniej, gwałtem wmawiających w siebie, że ciężko pracują, że poświęcają się dla innych. Naturalnie że ciężko: bo czyż nie ciężko jest, uderzając młotem w pustą przestrzeń, wyobrażać sobie, że się kuje gorące żelazo?... W takiem mianowicie położeniu znajduje się nasza domorosła pedagogia. Oddajemy do kształcenia dzieci a nie wiemy zupełnie, kto zacz oni i co z sobą przynoszą?

Nie zwracamy wcale uwagi na to, co powinno być podstawą, całej wychowawczej pracy: nie zwracamy uwagi na indywidualność dziecka.

W kwestyi tej przedewszystkiem zaznaczyć należy dwa krańcowe kierunki, dość wyraźnie uwydatniające się w domowem wychowaniu naszych dzieci.

Jedni, mając za sobą pozornie wyniki najnowszej pedagogii, twierdzą że umysł dziecka to biała karta, którą dowolnie może zapisać umiejętna ręka wychowawcy; że jego siły duchowe to miękki wosk, z którego również, wedle woli, możemy ulepić kształtną lub potworną figurkę. Ci więc jak widzimy nie przyznają wcale pierwiastku indywidualnego. Drudzy opierając się na tak zwanej nauce o temperamentach, mimo wszelkich późniejszych omówień i frazesów, apriori usuwają wszelką możność jakichkolwiek na dziecko wpływów i wpadają w drugą krańcowość: przeceniają znaczenie przyznawanej przez siebie indywidualności i ograniczają działalność pedagoga do kształcenia istniejącej.

Wykażemy jednostronność obu kierunków i dojdziemy w ten sposób do określenia indywidualności, jak my ją pojmujemy.

Zwolennicy pierwszej teoryi, w zasadzie stojąc daleko bliżej prawdy aniżeli drudzy, błędnem i ograniczonem pojmowaniem, wyznawanej przezeń maksymy, nigdy nie są w stanie osiągnąć pożądanego rezultatu. Nie wiedzą oni o tem, że hypotezę nowej pedagogii przyjmować należy nadzwyczaj ostróżnie i że tylko ludzie zupełnie wykształceni mogą się kusić o jej praktyczne zastosowanie, bez narażenia na szwank tych, którym najlepiej życzą. Smutna rzeczywistość przekonywa nas, że tak jest.

Dopuszczają się oni przedewszystkiem tego naturalnego błędu, że nie uznając pierwiastku indywidualnego, nie widzą żadnej różnicy między dzieckiem 6-8-10 lub 12-letniem. Podobne stopniowanie dla nich nie istnieje i w głowach tych szanownych panów są tylko dwa pojęcia: dziecko równające się zeru i człowiek dojrzały, pan samowładny owych zer dzieci. W takich rękach i sam sposób przekształcenia owych zer w okazy, mające reprezentować człowieka, musi przybrać szczególne cechy i przybiera je rzeczywiście, oto ich logika:

„Ja jestem taki a taki, jestem dość oszczędny, przyzwoity, pracowity; wprawdzie lenistwo, obżarstwo i inne z siedmiu grzechów są memi dość stałemi wadami, ale.. człowiek, który tak ciężko pracuje, czyż nie powinien być panem swej woli? czyż dopuszcza się występku słodząc czasami tak gorzkie życie“ i t. d. Wylicza się wszystkie swe strony dodatnie, ujemne zyskują racyę bytu, z powodu iż są uważane jako konieczny warunek wytrwania na drodze pracy i codziennych kłopotów.

Ponieważ zaś te kłopoty i dolegliwości nieistnieją w życiu dziecka, nie ma więc żadnego pozoru aby wady bezkarnie istnieć mogły i przyznaje się tylko obowiązkowa konieczność istnienia stron dodatnich; że jednak aż do nadejścia raz na wieki oznaczonej normy lat, w których rozpoczyna się sławna męczarnia syllabizowania, dziecko rosło i rozwijało się na opiece boskiej, nic dziwnego, iż z małymi wyjątkami, zjawia się ono przed zdziwionym pedagogiem zbiornikiem wszystkiego złego, jakie tylko w naszych pojęciach istnieje.

Pierwszy więc wniosek jaki w obec takiego stanu rzeczy postawiono j est ten, że dziecko *ma szczególną wrodzoną chęć do przyjmowania wszystkiego co złe i szkodliwe?*, a wstręt?! do wszystkiego co dobre i zacne! [1]) Całe więc zadanie pedagogii schodzi do wytępienia owych złośliwych pierwiastków a zaszczepienia dobrych.

Rozumie się, że z zupełnie zaniedbanem dzieckiem tylko wykształcony pedagog i psycholog może dojść do ładu, systematycznym i na gruntownem zbadaniu przedstawionego okazu osnutym planie. Praca to nie łatwa; gdy zaś w dodatku nie ma się o niej najmniejszego pojęcia, zastępuje ją pewny w długoletniem doświadczeniu wypróbowany środek: jest to tak zwane *przeparcie.*

„Powiadam szanownemu sąsiadowi i łaskawcy, aby go tylko raz przeprzeć, to ani go poznasz, taki się chłopiec zrobi! będzie podobny do siebie jak pięść do nosa! No, bo i cóż robić z takim nicponiem? A zresztą przypomniej sobie pan dobrodziej, czy to z nami było inaczej? O, o, dobrodzieje bili aż skóra trzeszczała i w oczach jasno było; no, a przecież wyszło się jakoś na ludzi“ (sic).

Reszta wiadoma. Pierwiastek indywidualny nie ma w takiem wychowaniu żadnego znaczenia a jego zwolennicy stosują na małych męczennikach par force to, co pedagogia orzeka z tylu zastrzeżeniami. Przejdziemy teraz do drugich.

Jeszcze starożytni psychologowie i mędrcy wskazali na ogromną zależność umysłowych i duchowych sił człowieka, od ustroju jego fizycznego organizmu; późniejsze badania nie tylko stwierdziły tę zależność ale o wiele nawet podniosły jej znaczenie. Starożytni utrzymywali, że zależność ta jest następstwem przewagi jednego z czterech płynów: flegmy, krwi, żółci i czarnej żółci, znajdujących się w organizmie człowieka. Na tej podstawie rozdzielono przeróżne usposobienia i konstytucye ludzi na cztery temperamenta: choleryczny, flegmatyczny, krwisty i melancholijny. Nowsi badacze zatrzymali ten sam podział; rozszerzyli tylko znaczenie temperamentu w ten sposób, że widzą w nim nie tylko zewnętrzne objawy ciała ale i wewnętrzne duszy. Temperamentem więc nazywają możność przyjmowania wrażeń i oddziaływania na takowe.

Owa możność jest wedle nich indywidualnością dziecka. Zgodzilibyśmy się na takie określenie indywidualności, gdyby nie widoczna onego jednostronność; podług tej teoryi indywidualność składa się tylko z tych odrębnych cech, które wypływają z fizycznego ustroju każdego organizmu.

Ponieważ zaś każdy organizm stając przed swym wychowawcą zjawia się już w formie mniej więcej skończonej, przeto pierwszem następstwem takiego pojmowania indywidualności ze względu na jej małą podatność wpływom sztucznym, musi być ograniczenie pedagogicznej działalności w nadzwyczaj szczupłych ramkach. Rzeczywiście jeżeli wszystkie indywidualne cechy są wynikiem fizycznego ustroju dziecka, chcąc je zmienić należałoby przekształcić sam organizm, co jest rzeczą niemożebną.

Widzą to doskonale zwolennicy tej teoryi i wierni przyjętej zasadzie tak formują zadanie wychowania: „Ponieważ temperament jest to owo uposażenie natury w którem spoczywa najlepsza siła człowieka *i to do czego tenże pierwotnie jest przeznaczony* (?) zadaniem więc wychowania będzie ażeby to przyrodzone uzdolnienie rozwinąć, wszelkie przeszkody tamujące takowe rozwinięcie usunąć, i tym sposobem wprowadzić wychowańca *w zgodną harmonię z jego dążeniem* (?), jego właściwem i naturalnem usposobieniem. Ponieważ temperament jest wrodzoną właściwością czyli naturalnem usposobieniem człowieka, niepodobna zatem pozbyć się tego, co z naszem jestestwem tak ściśle jest złączonem [1]). Do jakichże rezultatów doprowadziłyby nas te słowa, jeżelibyśmy zechcieli wiernie je zastosować? Tam gdzie zadanie wychowania redukuje się tylko *do rozwijania czegoś z góry określonego*, do kształcenia jakiegoś *przyrodzonego przeznaczenia*, zasady racyonalnej pedagogii w całej swej rozciągłości, stosowanemi być nie mogą. I tak, choleryk jest z przyrodzenia kłótliwy, zarozumały i skłonny do niszczenia wszystkiego co mu popadnie do ręki. Cóż z nim robić, jeżeli pedagogia ma się ograniczyć na rozwijaniu owych przyrodzonych zdolności? Naturalnie, albo nie wychowywać wcale albo rozwijać kłótliwość, zarozumiałość i wandalizm, bo jak mówi p. F... „środek wyskoczenia z własnej skóry, mimo wszystkich wynalazków, parowozów, telegrafów i balonów, dotąd wynalezionym nie został.“

Z powiedzianego wyżej widzimy, że jak a w praktyce tak i po części w teoryi nasza pedagogia nie stanęła jeszcze na wymaganem stanowisku. Jedni nie przyznają wcale dziecięcej indywidualności, drudzy ograniczają jej zakres przyrodzoną możnością przyjmowania wrażeń i oddziaływania na takowe. Wprawdzie i jedni i drudzy w zetknięciu się z rzeczywistością, zmuszeni są nieraz do wielu ustępstw [1]), są to jednak wyjątki i o tych później.

[1]) W artykule „Cnoty publiczne“ w r. z. pierwszy raz potrąciliśmy o sprawy naszego domowego wychowania, tam dotknęliśmy kwintesencyi, wskazując jego mądrości i niektóre środki gnębienia budzącej się myśli. Obecnie znowu podajemy niektóre. Dą Bóg, przejrzymy i inne z kolei.

[1]) „O temperamentach“ odczyty L. Falkiewicza miane w Krakowie, a drukowane w Opiekunie z r. 1871, za redakcyi p. Franciszka Gumowskiego.

[1]) Do tych należy i p. L. Falkiewicz w dalszym ciągu swej pracy.

Zebrawszy to cośmy poprzednio wypowiedzieli wykazując błędy naszej pedagogii, tak określimy indywidualność dziecka: *Indywidualność ta, jest to przyrodzona i w późniejszem życiu nabyta możność przyjmowania wrażeń i oddziaływania na takowe.* Aby usunąć wszelką wątpliwość, wskażemy na znaczenie które w tem określeniu nadajemy słowom: przyrodzona i nabyta możność.

Przyrodzoną możność przyjmowania wrażeń składają nasze zmysły, za pomocą których odbieramy wrażenia i temi tylko zmysłami ograniczamy jej zakres. Stopień i zakres tej możności dowolnie rozszerzać lub zmniejszać możemy, za pomocą podstawiania lub usuwania przyczyn wywołujących dane wrażenia; gdy jednak nasza pedagogiczna działalność prawdopodobnie dopiero za setki lat weźmie malca w tak ścisłą kuratelę, przeto w dzisiejszym stanie nauki wychowania odbierane przez dzieci wrażenia są następstwem najrozmaitszych stosownych i niestosownych przyczyn. Niestosowne przyczyny wywołują niestosowne wrażenia, te zamieniają się w uczucia i czyny.

Niestosowne przyczyny mogą: 1-o wpłynąć na szczególne rozwinięcie władzy jednego zmysłu; 2-o, przytępić władzę zmysłów do odbierania wrażeń; 3-o, mogą tej władzy nie rozbudzić wcale; 4-o, mogą jej nadać fałszywy kierunek. Summa tych niestosownych przyczyn składa się na wytworzenie tego co nazwaliśmy nabytą możnością przyjmowania wrażeń a przyznanie tej możności jest zasadniczą różnicą naszego określenia indywidualności— od określenia zwolenników nauki o temperamentach. Różnica ta jest bardzo ważną. Przyznając obok przyrodzonej możności i nabytą, otwieramy dla pedagogii dostęp do dziecięcej indywidualności; dajemy wychowawcy możność zupełnego zapanowania nad nią i przekształcenia wedle swej woli. Teraz dopiero możemy dokładnie zrozumieć dla czego pierwszy kierunek o którym mówiliśmy, nazwaliśmy w zasadzie swej zgodnym z rzeczywistością. Sztucznie nabyta możność, sztucznie usuniętą być może, za pomocą wywoływania żądanych przez wychowawcę wrażeń.. A ponieważ jak o tem namieniliśmy, długie lata upłyną zanim pedagogia stanie na wysokości swego zadania i od chwili urodzenia zacznie systematycznie rozwijać przyrodzoną możność przyjmowania wrażań, — koniecznie więc przyznać musimy, że owa przyrodzona możność usuwa się zwykle na plan drugi, a na pierwszy występuje nabyta; co powiększa znaczenie koniecznego poznania dziecięcej indywidualności. I tak, widzimy że niepodobna przypuścić aby różnorodność odbieranych bezwiednie wrażeń, nie wpływała na wyrobienie najrozmaitszych stopniowań możności ich przyjmowania, i wzajemnego oddziaływania. Ponieważ zaś te różnorodne wrażenia, jak mówiliśmy, wyrabiają różnorodne uczucia, popędy i czyny, nie omylimy się więc, nadając wszystkim odrębnym właściwościom danego indywiduum, znaczenie identyczne z możnością przyjmowania wrażeń. W skutek tego i określenie indywidualności możemy uczynić jeszcze prostszem i jaśniejszem, *nazywając ją połączeniem w jedną całość wszystkich odrębnych, danemu tylko dziecku właściwych cech.* W późniejszem życiu te oddzielne właściwości każdego człowieka, codzienny nasz język zowie zwykle charakterem.

Tak formuje się w pierwszych chwilach swego życia każdy człowiek; dotąd nikt u nas nawet nie kusi się o wywieranie swego wpływu na wytworzenie nowej indywidualności, nikt nawet nie wie jak dalece wpływać tu możemy. Każda więc dziecięca indywidualność wyrabia się niezależnie od woli wychowawcy—i wtedy gdy ci zaczynają nań zwracać swą uwagę, zdążyła już ona zarysować się w dość wyraźnych konturach i zjawia się jako fakt, którego istnienia odrzucić niepodobna, i z którym liczyć się należy przy swem względem dzieci postępowaniu. Gdzie jednak są rodzice, którzyby umieli poszanować to, co nazywają swem najdroższem na ziemi? Gdzie są rodzice, którzyby przynajmniej starali się zrozumieć jak im postępować należy? Nie ma ich. W następnych artykułach wykażemy do jakich rezultatów doprowadziłoby umiejętne stosowanie się wychowawcy do indywidualności dziecka.

Dziś ograniczymy się wskazaniem pierwszej korzyści, którą osiągnąć możemy rozumnem poszanowaniem sił właściwych każdemu dziecku.

Korzyścią tą jest wzbudzenie w dziecku zaufania i miłości ku swemu wychowawcy, bez których kształcenie i rozwijanie dziecka nie może czynić żadnych postępów. Że takie zaufanie i miłość mogą powstać tylko przy uwzględnieniu wskazanego warunku, przekonywa nas o tem krótka analiza miłości dziecka ku matce.

Nieraz zdarza się słyszeć pełne podziwu zachwyty nad mądrością urządzenia wszechrzeczy. Jednym z objawów tego zachwytu jest ogólnie przyznawana naturalna miłość dzieci ku swej rodzicielce. Faktu istnienia tej jakoby nieokreślonej i bezwiednej miłości nikt nie odrzuca, tembardziej zatem odrzucać go nie mogą zajmujący się wychowaniem i pierwotnem nauczaniem dzieci. Mamy jednak możność objaśnienia tego stosunku w sposób więcej ludzki i naturalny.

Człowiek dojrzały szczególniej zbliża się do tych ludzi, którzy w swem życiu materyalnem, umysłowem i duchowem okazują najwięcej z jego życiem wspólnego. Dziecko w tym razie kieruje się temiż samemi zasadami. Życie jego ma także swe pamiętne chwile a to co dla nas wydaje się śmiesznem, dla niego jest interesującem; co dla nas bezbarwne, w jego dziecięcej wyobraźni przybiera rozmiary Hamletowego „być lub nie być;“ inaczej, życie dziecka ma swój odrębny świat, którego losy gorąco interesują umysł młodego człowieka, a wypadki z życia tego odrębnego światka, potężnie działają na ruchliwą i podatną wyobraźnię dziecka; gdyż niemiarkowane zimnem doświadczeniem dorosłego człowieka, wywierają nań wpływ nierównie donioślejszy. Ztąd wniosek prosty: aby uzyskać możność połączenia się z dziećmi silniejszymi węzłami, należy uzyskać wolne wejście do tego małego odrębnego świata, który tem odznacza się od innych, że gdy do tych ostatnich nikt nikomu nie broni wstępu, a w ostatnim razie złoty cielec otworzy największe zapory, mały światek dziecięcy tak gorąco broni swych interesów, takim chińskim murem otacza swe granice, że tylko wybrańcom dozwala tu wstępu, wypędzając haniebnie każdego intruza jawną odrazą, nieznośnym wrzaskiem i płaczem. Tymi wybrańcami dotąd są tylko matki obywateli tak dzielnie stojących na straży swych interesów. Możność rozszerzenia koła tych wybrańców, jest gorącym interesem cywilizacyi. Jakże uzyskać trudny dostęp? jak obejść uwagę czujnych stróżów dziecięcej niezależności?

Droga prosta: *Szanować i uznawać indywidualność każdego dziecka, nigdy się nie zjawiać w charakterze rozkazodawcy lecz tylko rozumnego doradcy.* Tą tylko drogą każda matka dochodzi tej tajemniczej miłości, którą zawsze podziwiamy, a którą stokroć więcej czcić i cenić będziemy, wiedząc, jaką pracą okupuje się ona.... Matki też jedne tylko tak postępują, one jedne jeżeli miały wykształcenie, zdołały przygotować ludzkości największych myślicieli spełnianiem tych dwóch prawd, na oścież odkrywających im nie tylko wstęp do małego światka, lecz dających im także możność całkowitego opanowania wszystkich serduszek jego zacnych mieszkańców. Taki rezultat powinien być celem każdego wychowawcy, a sprowadziłby on nieocenione w swych następstwach skutki, gdyż każdy z nich tak postępując zająłby stanowisko nie równie wyższe niż to, na którem obecnie stoi ogromna większość matek, które, prawda, umieją pozyskać zaufanie dziecka, ale wyzyskać je, wyciągnąć zeń wszystko, co może temu dziecku przynieść jakąkolwiek korzyść, żadna z nich niepotrafi. Matki nasze umieją poznać indywidualność dziecka, umieją stosować się do niej, ale raz zastosowawszy się, nie wsparte należnem doświadczeniem i nauką, zajmują stanowisko wręcz przeciwne temu na którem należało by się im utrzymać. Dopóki więc nasze kobiety nie porzucą swej dotychczasowej w domowem pożyciu roli porcelanowych lalek i balowych maryonetek—i dopóki nie przygotują się do należnego spełniania swych obowiązków, dotąd każdy wychowawca powinien uważać sobie za święty obowiązek starać się zapełnić istniejące luki.

Jaki stosunek łączy matkę z dzieckiem z punktu widzenia samego dziecka? Ni mniej ni więcej jak tylko stosunek dwojga dzieci, z których jedno troszkę starsze i mędrsze, niesie bezinteresownie swą pomoc i radę drugiemu.

Naturalnie niepodobna wymagać od człowieka nie ożywionego względem danego dziecka uczuciem macierzyńskiej miłości, aż tak umiejętnego wżycia się w świat dziecięcy. Niech też żaden z nich nie myśli nawet o tem. Zadanie wychowawcy możemy tu sformułować w ten sposób: obowiązkiem każdego z nich jest: *wyjaśnić sobie te indywidualne cechy dziecka, które najczęściej uwydatniają się w jego czynach i postępowaniu, i wcieliwszy je w siebie, pod tąż pokrywką zająć się kształceniem przyszłego człowieka.*

Tak postępować należy przy początkowem kształceniu dzieci; to postępowanie winno być wstępem do owego kształcenia; tak jednak nikt u nas nie postępuje, gorzej nawet; wszyscy usilnie pracują nad przygotowaniem spo-

łeczeństwu ludzi, którzy są plagą dla niego, ciężarem dla siebie.

Przez pół jednak spełnilibyśmy swe zadanie, wskazując samo złe ogólnie; dla tego też postaramy się z czasem szczegółowiej wykazać: kiedy i w jaki sposób zabijamy niepotrzebnie w dzieciach ich indywidualne cechy, wskazując zarazem, o ile nasze siły pozwolą, i inne sposoby postępowania.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Odessa 2 stycznia (21 grudnia) 187⁵/₆.

Otóż prawdziwa dla Waszego korespondenta niespodzianka! Zima w Odessie; i to zima w całem, sybirskiem tego słowa znaczeniu. Mrozy dochodzą do 18°R., a na morzu przeszło dwudziestu. Sannę nawet mieliśmy przez kilka dni, i to nie sztuczną, bez nawożenia śniegu na ulicę de Ribas, jak zwykle praktykowało się tutaj, ale sannę co się zowie naturalną. Wiatry i zawieje już ją rozwiały, lecz miłe pozostało wspomnienie.

Nie można tego powiedzieć o ubiegłej jesieni, raz z powodu epidemii samobójstw, o której już wspominałem w przeszłym liście, powtóre z powodu strasznych huraganów morskich i mgły, które dały się silnie uczuć kieszeniom akcyonaryuszów „Tow. parowej żeglugi i handlu.“ Towarzystwo to, nawiasem mówiąc, pobierając subsydyum rządowe, niezbyt pomyślnie wpływa na rozwój marynarki handlowej w Rossyi. Brak tej ostatniej z każdym rokiem dotykalniej czuć się daje, na ogromne straty naraża kupców miejscowych, i jest jedną z ważniejszych przyczyn *stagnacyi handlu*, o której więcej szczegółów obiecałem wam dać w moim poprzednim liście.

Rzeczywiście, jeżeli zastanowimy się nad rozwojem handlowej flotty Hollandyi, Anglii i Ameryki, mimowolnie musimy przyjść do wniosku, że znaczną część a może całą swą potęgę, państwa te winny swej handlowej marynarce. Uderza to przedewszystkiem w historyi Hollandyi, tego malutkiego kraiku, który jednak panował na oceanach wszystkich pięciu części świata, dzięki swym... kupcom. Otóż i rosyjscy kupcy mieli epokę, która, gdyby się była przeciągnęła cokolwiek dłużej, gdyby impuls dany przez Piotra W. nie został zneutralizowany przez traktat z Anglią 1797 r., byliby dziś może, jeżeli nie panami oceanu, to przynajmniej nieustąpili by na nim pierwszeństwa żadnemu morskiemu mocarstwu. Jeden z mężów stanu angielskich XVIII-go stulecia, jasno wyraził swe obawy w tym względzie. „Rossya, wyrzekł on, na polu marynarki, to niebezpieczna dla nas współzawodniczka; nad którą należy czuwać, i jeżeli można, stawiać jej na każdym kroku przeszkody, nie dając rozwijać się jej handlowej działalności.“ Też same obawy powtórzył w angielskim parlamenaie sławny Walpole, lecz wkrótce już okazały się one zbytecznemi, gdyż okoliczności tak się złożyły, że marynarka handlowa ruska, którą stworzyły nadane jej przywileje, w skutek wspomnionego traktatu, równoważącego cła dla okrętów zagranicznychi ruskich, musiała upaść. Po trzech latach już marynarka handlowa ruska, była tak osłabioną, że ukazem 1800 r. musiano dla podtrzymania jej wydawać pieniężne subsydya ze skarbu, tytułem premij za każdy rejs od łaszta ładunku. W 1812 r. i premia te zostały zniesione, i ruska flota, ktorej okręta kiedyś tłumnie zalegały europejskie porty, dziś na południowych swych morzach ma zaledwie około 40 parostatków. Na jakie zaś straty naraża krajowy handel brak własnych przewozowych statków, okazuje się z następujących cyfr:

W końcu 1866 roku, nasza pszenica kupowana w Odessie po 8 i 9 rs. za czetwert', sprzedawaną była w Anglii po 16 — 17 rs., tak, że w skutek jedynie przewozu nie na ruskich statkach, odescy kupcy stracili 50% zysku! Dalej, Anglia kupuje corocznie materyału budowlanego (drzewa) na summę około 160 milionów rs., z tej summy prawie 70 milionów wypada na drzewo dostawione z Rossyi; tymczasem ruscy kupcy, otrzymują zaledwie ⅓ tej summy, a pozostałe ⅔ zostają w ręku zagranicznych handlarzy, ich komisantów i angielskich właścicieli statków. I tak na każdym przedmiocie, w każdej gałęzi handlu, Rossya traci miliony rubli rocznie, jedynie przez brak własnych okrętów. Nie mając ich, kupuje wszystkie towary, za pośrednictwem komisantów zagranicznych firm, którzy w zmowie ze swymi pryncypałami, są jedynymi regulatorami tutejszych cen. W 1867 r. ruskie towarzystwo techniczne zebrało dane o summie strat, wynikających z braku handlowej marynarki: okazało się że na wywozie Rossya traci corocznie 155 milionów brzęczącą monetą, a na przywozie okrągło 30 milionów, razem około 185 milionów rubli.

Subsydyum, jakie otrzymuje towarzystwo parowej żeglugi i handlu: nie tylko że złego nie zmniejsza, lecz przeciwnie, tamuje prywatną inicyatywę w budowie okrętów; a to ostatnie przedsiębierstwo, nie ma szans rozwoju, dopóki taryfa celna nie zostanie zmienioną na korzyść towarów przewożonych nie pod flagą ruską, bo tej używa wiele zagranicznych okrętów handlujących ruskiemi towarami, lecz na korzyść towarów przewożonych na statkach zbudowanych w Rossyi i należących do ruskich kupców.

Handel i morze! to dewiza Odessy. Dla tego nie dziwujcie się czytelnicy, że tą atmosferą oddycha i moja korespondencya. Straty zresztą tutejszego towarzystwa na tór ten mnie wprowadziły. Zaprawdę, straty nie małe. W ciągu paru miesięcy rozbiło się cztery parostatki, z których dwa znacznej wielkości. „Aksaj“ zrobił początek. Dowodził nim kapitan Bołtin, stary *loup de mer*, znający wszystkie morza jak ja, nieprzymierzając, ulice Warszawy. Że jednak i na flizach warszawskich można kark skręcić, jeżeli dotąd znajdają się w tak kwitnącym stanie, jak były za mej pamięci, nic dziwnego, że i p. Bołtin, skręcił „Aksaja“ na rafie morskiej, wśród burzy i mgły takiej, że o kilka kroków, nic nie widzieliśmy przed sobą. Osada jednak ocalała, p. Bołtin zdrów przybył do Odessy, gdzie w nagrodę wielolicznych swych trudów, energii i odwagi, otrzymał od towarzystwa..... dymissyą.

— Ha, będę pisać korespondencye do dzienników, jak ty kochany kolego, rzekł on do mnie przed kilku dniami, a jak się dorobię na na honoraryach grosza, ostaluję u ciebie wielki obraz p. t. rozbicie „Aksaja“ podług tej oto fotografii.

I rzeczywiście pokazał mi arcydzieła fotograficzne; widoki z natury zdjęte nazajutrz po rozbiciu się statku, przez młodego anglika, fotografa, który się zajmuje fotografowaniem morza. Osiedlił się na wyspach Scilli (kanał La Manche), skąd w czasie najgorszej pory roku, wędruje na skały sterczące wśród morza, o które najmniej kilka okrętów każdej jesieni bezwarunkowo się rozbija i tam, fotografuje owe szczątki. Lecz żebyście widzieli co to za widoki! Spotykacie się często we francuskich a przeważnie angielskich illustracyach z drzeworytami, przedstawiającemi rozbicie ważniejszych okrętów. Bądźcie pewni że ten to młody fotograf dostarcza do nich materyałów, które same w sobie są skończonemi obrazami, à la Ajwazowski.

Za „Aksajem“ poszedł na dno „Pierwieniec,“ za nim przepadła na odeskim rejdzie maleńka „Mucha,“ spiesząca na pomoc osiadłemu na mieliźnie „W. Ks. Michałowi,“ nakoniec wczoraj, gdy prawie cała odeska zatoka już jest pokryta lodem, odważna „Ciotka“ chciała ognistą swą piersią rozerwać te zapory, lecz zgnieciona przez lody zatonęła... Osada ocalała.

Powróćmy jednak na ląd stały. Znacie już mniej więcej, łaskawi czytelnicy, z przeszłego mego listu, fizyonomią naszego miasta. Wiecie że mamy granitowy, kostkowy bruk, wodociągi które zamarzają teraz na dobre, szerokie ulice bez rynsztoków i mostków, jeszcze szersze, śliskie teraz porządnie, trotuary bulwar i pomniki i cerkwie i kościół i dwie synagogi; lecz ciekawi zapewne jesteście zapoznać się z tutejszą wielojęzyczną ludnością; dowiedzieć się, jak też się żyje w Odessie, i czy fizyonomia mieszkańców, jest również ponętna, jak fizyonomia samego grodu. Niestety, pod tym względem, zmuszony jestem narazić was na pewne rozczarowanie. Jeżeli jednak statystyka ma dla was powab wymownego języka cyfer, jeżeli umiecie w liczbach szukać ukrytych sprężyn dramatów, których tak pełne życie i jeżeli z tej dyagnozy społecznych niemocy, zrozumiecie przyczynę wielu ran, któremi krwawi się dzisiejsza cywilizacya, przytoczę wam kilka liczb, a one dadzą wam szersze pojęcie o tutejszej ludności, niż wielosłowne jej opisy. Bogaty do tego materyał nastręcza nam spis odeskiej ludności, obrobiony porównawczo w „Noworosyjskim Telegrafie.“

Ludność Odessy wynosi (1873) 109,734 męż. i 83,779 kob. razem 193,513 dusz. Pod względem ekonomicznym, ludność ta da się podzielić na trzy grupy. Pierwsza grupa, to ludzie utrzymujący się z pewnych, oznaczonych dochodów. Tu należą kapitaliści, urzędnicy, kupcy i rzemieślnicy. Do drugiej grupy należą ludzie, żyjący na rachunek pierwszej grupy, to starcy, dzieci, chorzy, więźniowie i t. d., Trzecia grupa, ludność bez zajęcia, jest jak na Odessę bardzo liczna, bo wynosi męż.

2,657, kob. 8,364, razem 13,121 dusz. Drugą grupę składają: dzieci do 12 lat 42,454 dusz; w szpitalach 1,110 d.; w więzieniach 916 d.; w domach przytułku 304 d.; starców nad 70 lat 1,903; razem żyjących na rachunek pierwszej grupy 28, 435 męż. i 31,263 kobiet, czyli w ogóle 59,698 dusz. Tym sposobem na dwóch pracujących, wypada w Odessie jeden próżniak. W rzeczywistości jednak cyfra ta ulega znacznej zmianie. Należy bowiem do nie pracujących i nic nie produkujących dołączyć massę kobiet, zamiatających ulicę de Ribas niesłychanie długiemi ogonami, w porównaniu których ogony warszawianek, które przeszłego lata taką krucyatę przeciw sobie wywołały, są zaledwie w stosunku ogona sroki do ogona pawia; następnie dzieci starsze nad 12 lat, uczące się w szkołach i gimnazyach, nakoniec demi-monde ukrywający się pod firmami bon i guwernantek bez miejsca, aktorek bez angagement i szwaczek bez zajęcia. Urzędownie na 83,000 kobiet w Odessie jest 31,000 nic nie produkujących! Wyłączywszy dzieci, pozostanie jeszcze 10,000 — ogromna cyfra kobiet, utrzymujących się Bóg wie z czego. Wypada więc już nie dwóch pracujących na jednego nic nie robiącego — lecz 1 na 1. To nie wszystko. Ze spisu ludności dowiadujemy się że w Odessie jest 24,327 wyrobników i 21,752 wyrobnic. Wyrobnik odesski to nie warszawski *piłat* lub tragarz. To przybylec, który mieszka tu dla ogromnych zarobków, jakie może znaleść przy wyładowywaniu, naładowywaniu okrętów w portach i przewożeniu okrętowych ładunków. Sześć lub siedm miesięcy letnich zabezpiecza mu zimę i pozwala jeszcze coś odłożyć na czarną godzinę. Tak bywało przed laty, gdy handel kwitnął, lecz dziś, lato zaledwie pozwoliło wyrobnikowi przeżyć z dnia na dzień, a zima zastała go w rozpaczliwem położeniu, w najostateczniejszej nędzy. W ten sposób wyrobników i wyrobnic mających jakiekolwiek zajęcie, zaledwie na 5—6 tysięcy można liczyć. Konkluzya: dzieci i starców 44,347 — w szpitalach, przytułkach, więzieniach 2,330. Bez zajęcia (urzędowego) 13,021 — wyrobników bez zajęcia 40,000, razem 99.698 dusz.

Oto socyalny stan Odessy! Na 193,000 ludności jest dziewięćdziesiąt dziewięć i pół tysięcy żyjących cudzym kosztem; t. j. na jedną roboczą siłę wypada półtora próżnującej. Porównywając i wyrażając to w odsetkach, otrzymamy: samodzielna ludność w Odessie 40%; w Paryżu 60%; w Petersburgu 63%. Ludność pasożytów w Odessie 60%; w Paryżu 40%; w Petersburgu 37%.

Jeżeli nie naprowadzają was, czytelnicy na wiele smutnych lecz uczących myśli, te wymowne cyfry, przytoczę wam jeszcze kilka ze sfery rodzinnych stosunków, a parę tragicznych wypadków które w tych dniach miały miejsce w Odessie, będą pokaźną dla tych liczb illustracyą.

Otóż ze spisu ludności przekonywamy się, iż Odessa ma przeszło 60% mieszkańców nieżonatych i niezamężnych (68,283 męż. i 43,301 kob.). Dodawszy do tej liczby 2,521 wdowców i 9,508 wdów, spostrzeżemy że Odessa jest niemal wyjątkowem miastem w Europie: na 193,000 ludności, 123,613 dusz nie mających swej rodziny. Jeżeli 60,000 dusz ludności familijnej podzielić po 5 dusz na jedną rodzinę, dowiemy się, że w Odessie jest zaledwie 12,000 rodzin. Rezultat wcale niepocieszający i fatalnie odzywający się na tutejszych społecznych stosunkach.

„Podobne życie, mówi jeden z tutejszej intelligencyi piszącej i drukującej, nie jest w stanie podnieść cywilizacyjnych warunków miasta ani pod socyalnym, ani pod moralnym względem. W mieście, w którem kodeks społecznej moralności, zawiera się w wyrazie „zebrać pieniądze“ („nażyt'“), w którem ludność składa się z różnoplemiennych żywiołów, w którem massie nieżonatych mężczyzn odpowiada niedostateczna liczba panien i wdów, w którem większość mieszkańców jest skazana na bezczynność, moralna strona nie może pochlubić się swą nieskazitelnością. Z tego też powodu bezrząd w Odessie rozwinięty jest daleko więcej niż w innych miastach, i wszystkie rozporządzenia administracyjne, są względem niego bezsilne.“

Wracając po raz ostatni do cyfr porównawczych, widzimy że domów familijnych w Odessie jest 45%; w Petersburgu 80%, w Berlinie 93%, w Paryżu 55%. Jednostek bez rodziny w Odessie 55%, w Petersburgu 20%, w Berlinie 7%, w Paryżu 45%.

23 grudnia (4 stycznia).

Dwa okropne wypadki morderstwa, jakie miały w tych dniach miejsce, nie osłonięte jednak bynajmniej taką tajemnicą jak zeszłoroczne zabójstwo Sarneckiej w Warszawie, były aż do dnia wczorajszego przedmiotem pogawędki w Odessie, gdy nowy, niespodziewany i daleko więcej tajemniczy fakt, kazał zapomnieć Odessitom (tak tu nazywają naszych współmieszkańców) nawet o świętach Bożego Narodzenia, nawet o benefisie znajomej wam pani Keller w nowej Offenbachiadzie „Madame l'Archiduc.“ Chcąc jednak być wiernym kronikarzem, zacznę porządkiem chronologicznym.

Otóż z tydzień temu, do jednej „traktyerni herbacianej“ (czajnyj traktir) zwanej „Nową Italią“ na ulicy Greckiej, wszedł wieczorem mężczyzna w towarzystwie młodej dziewczyny, kazał sobie podać parę kieliszków wódki i porcyę herbaty na 2 osób. W czasie tego traktamentu, prowadził ze swą towarzyszką bardzo ożywioną rozmowę. Sala, mówiąc nawiasowo, była jak zwykle pełną ludzi. Nie przeszkodziło to jednak rozwścieczonemu adonisowi, w chwili gdy jego dulcynea przechyliła w tył głowę, ażeby wychylić resztę wódki z kieliszka, wydobyć nagle ogromny nóż i jednym zamachem poderznąć gardło nieszczęśliwej dziewczynie, która na miejscu wyzionęła ducha.

A co? bez ceremonii sobie tutaj poczynają obrażeni kochankowie!... Mężowie również nie wiele sobie zadają subiekcyi w ukaraniu swych żon. W parę dni po morderstwie w „Nowej Italii“, pewien mąż, który przed kilku miesiącami rozszedł się ze swą żoną, zakochawszy się w innej, dowiedział się, że jego żona również prędko pocieszyła się po tej zdradzie w towarzystwie jakiegoś rycerza. Jednego wieczora następuje niespodziane spotkanie małżonków na dość odludnej ulicy. Mąż zbliża się do swej połowicy, z godną naśladowania szczerością, opowiada jej że sprzykrzyła mu się jego kochanka i chce na powrót z nią się połączyć, i proponuje ażeby natychmiast sprawę tę zagodzili przy kieliszku w jego domu. Biedna kobieta, której sumienie wyrzucało też nagłą miłość dla młodego wojaka, zgadza się na propozycyę męża, i gdy przechodzi z nim przez most Nowikowa, mąż uderzeniem noża zadaje jej śmiertelny cios, lecz gdy chce trupa wrzucić w przepaść z mostu, na gorącym uczynku zostaje schwytany i aresztowany.

Oto macie najświeższe nowiny odeskie, i przyznajecie że dość charakterystyczne. Kiedym zaś tak się już rozpisał o tych, które są na porządku dziennym, niechże mi woluo będzie prosić czytelników jeszcze o chwilę cierpliwości, dla zanotowania kilku drobniejszych faktów z tutejszego życia umysłowego, które z pod chwastów handlowej gorączki większości, utylitaryzmu i narzekania na złe czasy, nieśmiało tylko od czasu do czasu strzeli młodą latoroślą, lecz ani dojrzeć na tym nieurodzajnym dla nauk i sztuk gruncie, ani rozkrzewić się nigdy nie zdoła.

Gdy straszne czterdziestostopniowe upały, każą wam szukać orzeźwiającego strumienia, by zagasić pragnienie; gdy rozłożyste lipy i dęby przyzywają strudzonego i zlanego potem pracownika, pod swój cień dobroczynny — któż wówczas nie potrafi ocenić roskoszy orzeźwiającego odpoczynku, nowych sił użyczającego nam do pracy! Pod cieniem tych drogich drzew, rodzą się wzniosłe myśli i wyśpiewują całe poemata; jabłko upadłe z drzewa naprowadza filozofa na cały świat nowych odkryć; młodzież w cieniu tych drzew uczy się tajemnic przyrody i wyznaje tajemnice własnego serca...

W dusznych komnatach i wśród skwarnego pola, dobywamy kęs chleba, pod cieniem drzew zaczynamy filozofować i uczyć się.

Powiedzcież mi teraz, czy nauki i sztuki piękne mogą kwitnąć w miejscowości, która nie ma ani jednego strumienia wody słodkiej i musiała ją dostać aż z Dniestru za pomocą wodociągów, i nie ma, prócz karłowatych akacyj, sprowadzanych aż z Marsylii i zasadzonych na ziemi, przywiezionej aż z Podola, ani jednego drzewa?

Wiecie że Odessa ma swój uniwersytet. Mieszkając w Odessie, zapomniałbym o tem na śmierć, gdyby nie projekt otworzenia medycznego fakultetu, którego dotąd uniwersytet noworosyjski nieposiadał i gdyby nie publiczna prelekcya jednego z profesorów „O przeszłości i przyszłości ziemi“ na dochód powstańców hercogowińskich, z której dowiedziałem się że teorya stopniowego ochładzania się ziemi od jej skorupy ku środkowi, jest hypotezą nie wytrzymującą najmniejszej krytyki naukowej, dla czego?... Szanowny prelegent nie chciał czy nie umiał na to odpowiedzieć choćby jednym, jakimkolwiek naukowym argumentem.

Więcej już oznak życia daje tutejsze, bardzo biedne Towarzystwo sztuk pięknych, którego działalność ogranicza się jak dotąd na otworzeniu i utrzymywaniu własnemi fun-

duszami szkoły rysunkowej, i corocznej wystawy dzieł sztuki. Wystawa w r. b. otwartą zostanie w końcu lutego i trwać będzie dni pięć. Pokorny wasz sługa przygotowywa na nią wielki portret tutejszego arcybiskupa Leontia, przeznaczonego właśnie teraz do Warszawy, i drugi rodzajowy obrazek. Portret arcybiskupa zamówionym został do domu arcybiskupa przez odeskie duchowieństwo, druga zaś kopia przez samego przewielebnego Leontia do Warszawy.

A propos duchowieństwa; na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, tutejsi katolicy, zasmuceni zostali zgonem sędziwego Ks. Lipskiego, biskupa niegdy Tiraspolskiego, mieszkającego od lat kilku w Odessie, i bardzo poważanego, tak z powodu zacności charakteru, jak też z hojności, z jaką wspierał prawdziwe ubóstwo.

A teraz, radujcie się czytelnicy, albowiem pisanie moje ma się ku końcowi. Odkładając resztę nowości do przyszłego listu, ze lżejszem sercem, zrzuciwszy zeń ciężar zaległej korespondencyi, mogę wam życzyć „dosiego roku," wydawcy massy prenumeratorów, a redaktorowi sławy i pieniędzy; — żebym nie zawsze tak jak dziś was znudził, tego znów jak najszczerzej moim czytelnikom i sobie życzę. Satis. *Henryk Filipowicz.*

(7 stycznia) 26 grudnia.

Zanim zdążyłem odesłać ten list na pocztę, notabene zamkniętą przez dwa dni świąt v. s., otrzymałem w tej chwili smutną wiadomość. Dziś w nocy spalił się do szczętu dworzec Odeskiej kolei zwany „stacyą Kulikowo-pole" w samej Odessie. Była to zresztą buda drewniana i miasto tylko zyska na tej pogorzeli, gdyż zapewne zbudują porządny foksal murowany. Okropniejsza jeszcze wiadomość z samej linii kolei. Około stacyi „Razdielnaja" znajduje się nasyp kolejowy bardzo wysoki, tak że pociągi przechodzą jakby nad przepaścią z obu stron. Otóż przedwczoraj pociąg wykoleił się i runął w przepaść, przyczem dostawiono do Odessy ranionych 58, reszta pozabijała się i spaliła, gdyż piece, ogrzewające wagony wznieciły pożar, który ani wagonów ani ludzi nie oszczędził. Od wczoraj znów śnieg pada ogromny i mamy na święta sannę, jakiej Odessa dawno niepamięta.

H. F.

ZA SZCZĘŚCIEM.

(NOWELLA)

przez

P. Heysego.

(Dalszy ciąg).

Wieczorem jużem go nie widziała więcej, a nazajutrz wyjechał rano przed wschodem słońca. Nadchodziły teraz jego listy; że one nie do mnie były pisane, lecz do małej Faniski, tego łatwo się domyśleć; że one jednak dla mnie były przeznaczone, chętnie im się przysłuchiwałam. Siostrę nadzwyczaj one uszczęśliwiały; dawniej pisywał do niej w dzień urodzin, jak się pisuje do dziecka; teraz przybywało dwa albo trzy arkusiki, które zwykle zaczynały się wesoło od opowiedzenia jakich figlów studenckich, lecz potem nagle się ton zmieniał, jakby się przechodziło z dnia do nocy, a poczciwe dziecko odczytywało mi te poważne stronnice, i dziwną zrobiwszy minkę, powiedziało: to tak wygląda, jakby kto inny pisał mu te stronnice. Albo jakby do kogo innego były pisane, pomyślałam sobie... A gdym sama została, układałam w myśli odpowiedź arkuszami całemi, lecz ani jednego wiersza nie przeniosłam na papier. Nie raz myślałam nad tem, jak przez siostrę donieść mu o sobie, albo też pozdrowić go tylko odemnie.

Ani na chwilę od tego czasu, kiedy wyrzekł do mnie owe słowa, nie myliłam się, co do stanu mojej duszy. Postanowiłam mocno, tylko przez zimę tu pozostać. Około Wielkiej nocy miał powrócić, Faniska ciągle o tem mówiła, czułam, że mnie to na zawsze zgubić może, ułożyłam więc sobie na Nowy rok powiedzieć jego matce, iż się staram o inne miejsce. Mało mnie to obchodziło, gdzie mnie los zapędzi.

Inaczej przecież się stało.

Około Bożego narodzenia śnieg rozesłał się w parku, dzień był pogodny, Faniska nie mogła wytrzymać w pokoju, wyszłyśmy na przechadzkę. Otulone dobrze w nasze okrycia, udałyśmy się wielką aleją wiodącą ku gościńcowi. Naraz ujrzałyśmy jakąś w oddaleniu postać, idącą ścieżką przez uschłe krzaki. Ścieżka ta znacznie skracała drogę. Faniska, która miała wzrok trochę krótki, chciała iść dalej. Ja poznałam go odrazu i zatrzymałam się.— Siostrzyczko, wołał zdaleka dając jej znaki... W kilka minut zawisła na jego szyi... Lecz on przez jej głowę spoglądał na mnie, ach, jakiem spojrzeniem! Dreszcz znów przeniknął mnie całą, jak wtedy, kiedy się dotknął moich włosów....

— I cóż mam panu więcej mówić? Możeś pan sam już doświadczył, co się z nami dzieje, gdy mamy sobie tyle rzeczy do powiedzenia, a tu i o jeden dzionek trudno. Przytem był on wybornym aktorem, nikt w domu nic szczególniejszego nie zauważył, a co najgorsze, ja sama niczegom się nie domyślała. Widziałam, że pragnie spotkać się ze mną, i zły, gniewał się, ponieważ go unikałam. Myślałam, że tak przystoi postępować i mnie i jemu. A jednak drżałam, gdy mnie znienacka dotknęło spojrzenie jego zasmuconych oczu!

Tak upłynęło dni ośm; na zamku we święta ciągłe zabawy, podczas których siedząc sama jedna trapiłam się gorzkiemi myślami. Na Boże narodzenie obdarzył wszystkich podarunkami, tylko mnie jednej nic nie dał; siostry łajały go za to, ja mu wdzięczną byłam. Chciałam, żeby mnie tylko za służącą uważał, bo i cóż mogłam rachować na jego życzliwość. To też po całych dniach aż do samego wieczora pracowałam nad strojami moich pań, które w trzecie święto wybierały się na wielki bal w sąsiedztwie. Zamek hrabiego był odległy od nas prawie na trzy godziny drogi. Mówiono o małżeństwie pomiędzy Gastonem i córką hrabiego; Faniska sama o tem wspominała i widać było po niej, jak mocno sobie tego życzyła. Tego balu wcaleby nie było, gdyby jej brat na wakacye świąteczne, nie był przyjechał do domu.

To też przypatrywałam się po południu, jak z wielką wrzawą wyruszyła cała kalwakata, składająca się z czterech sań i dwóch jeźdźców. Oprócz bowiem państwa, wyjeżdżała cała prawie służba, tylko stary ogrodnik, chłopiec stajenny i ja pilnowaliśmy domu. Guwernantka pojechała na święta do swoich krewnych, mieszkających na granicy francuskiej.

Gdy cały orszak zniknął mi z oczu, i uczułam się wolną, zadumałam się o moim losie i długo i gorzko płakałam. To mi jednak ulżyło; myślałam też, żem ostatnią swoję boleść wypłakała, ufałam sobie, że jak go znowu zobaczę, to stanie się dla mnie zupełnie obcym, obojętnym, jak nazwisko dawno zapomniane. Gdy się już zmierzchło, chodziłam po całym zamku, byłam i w jego pokoju. Długo siedziałam na krześle przed jego biurkiem i przypatrywałam się drobiazgom na nim porozkładanym; wydawało mi się wciąż, jakby go już nie było na świecie, jedynie tylko te rzeczy o nim mówiły. W tych marzeniach noc mnie zaskoczyła, tylko śnieg zalegający łuki okienne wrzucał nieco bladszego światła; czułam przejmujące zimno, podążyłam więc do mojego pokoju i na noc rozpaliłam sobie ogień. Wtedy zmiarkowałam jak siły mojego ciała wyczerpują się z dniem każdym; byłam śmiertelnie zmęczona, tak iż prawie przed samym piecem klęcząc, zasnęłam, z trudnością więc przyszło mi rozebrać się i iść do łóżka.

Zasnęłam też zaraz, i dopiero około północy zbudził mnie straszny sen. Widziałam go w niebezpieczeństwie utraty życia, ucieszyłam się więc bardzo, gdy oprzytomniawszy, przypominałam sobie, że on teraz zdrów i wesoły tańczy, a tylko moje szczęście jest w niebezpieczeństwie. Widziałam go z hrabianką i innemi pięknościami i nie zazdrościłam mu żadnej. Jedna tylko myśl mnie pocieszała, że żadna z pewnością nie potrafiłaby go jak ja uszczęśliwić. Pomyślisz pan sobie, że zbyt dobrą miałam o sobie opinią. Nieraz porównywałam się z innemi i mówiłam sobie: żebyście nie miały brylantów i pięknych sukien, żaden mężczyzna nie dałby wam pierwszeństwa. Wiedziałam także, iż w ostatnim roku stałam się daleko piękniejszą, niż przedtem; teraz mogę o tem mówić, bo wszystko już przeszło, a choćby i nie przeszło, nie cieszyłoby mnie wcale. Było-to już we mnie ze krwi mojej matki, że do wesołości i szczęścia rwałam się z całych sił; gdybym szczęśliwą została, umiałabym i uszczęśliwić.

— Ale nic z tego nie będzie, rzeczy muszą iść swoją koleją, rzekłam prawie gniewnie do siebie. Wypogodził się mój umysł, o zaśnięciu znów nie było co myśleć, leżałam tylko w łóżku i pomimo mojej biedy było mi jakoś błogo i spokojnie, gdy poczułam ciepło od pieca i spojrzałam w okno jak wśród zimowej nocy: gwiazdy zimno połyskiwały i żadna igiełka nie poruszyła się na jodłach. Nadto cisza panowała w domu, tak iż słyszałam zegar bijący godziny w buduarze jasnej pani... Raz chowałam raz.. dwa... trzecia godzina. Wtem nagle zdało mi się, że słyszę dolatujący mnie

zdala odgłos kopyt końskich, dochodzący mnie z wielkiej alei, podniosłam się przerażona. W istocie, nie było to złudzenie, odgłos stawał się coraz wyraźniejszy, ktoś pędem wpadł na dziedziniec; z krzykiem zerwałam się z łóżka i wyjrzałam oknem. To on! zeskakuje z konia, prowadzi za cugle do obocznego budynku, gdzie śpi stary ogrodnik, potem puka i przywiązuje konia do jednego z palów winogradowego szpaleru. Więcej już nic nie widziałam, gdyż w pomieszaniu ledwom znalazła moje ubranie. Tylko co je włożyłam na siebie, posłyszałam jego kroki na wschodach, jakby zaklęta stanęłam na środku pokoju. Przystanął pode drzwiami, mogłam słyszeć jego oddech przyspieszony, potem zapukał i wzywał mnie po imieniu. — Kto tam? zawołałam pomieszana, chociaż dobrze wiedziałam kto puka. Lecz gdy po raz drugi zawołał: Magdaleno! nie mogłam dłużej dać mu czekać. Odsunęłam zasuwkę, i stanęliśmy na przeciwko siebie, ale tylko przez chwilę... Czułam się w jego objęciach i wszelki ból i troski zapomniane zostały...

Gdyśmy sobie znów mogli spojrzeć w oczy, pomimo wzruszenia rozśmiać się musiałam, patrząc na jego twarz otoczoną lodem; u włosów, na brodzie wisiały długie sople. I on się śmiał, gdym zadzwoniła w jego loki. — Tak, dziecię moję, rzekł, wprowadzam ci do domu lodowatego niedźwiedzia, musisz go odegrzać. Chodź! I chciał mnie zaprowadzić do pokoju. Lekko odciągnęłam go od drzwi. — Zejdźmy na dół, rzekłam. Rozpalę ogień na kominie i wnet ciepło będzie. I wziąwszy się pod ręce, zwolna schodziliśmy na dół, zatrzymując się co chwila, spoglądając po sobie, pytając się, czy-to prawda że trzymamy się pod ręce, że do nas cały ten dom należy, a nikt nadejść nie może aby jedno rozłączyć od drugiego.

Nakoniec zeszliśmy na dół do ciemnej sali i wnet rozpaliłam na kominie jasny ogień, a on wciąż dorzucał szczapę po szczapie z koszyka, aż buchnął płomień wysoko. Stała tam jeszcze choinka wigiliowa, a w koło niej stoły z podarunkami wszelkiego rodzaju, istny bazar; po drugiej stronie na ścianie wisiały familijne portrety jego przodków po kądzieli, przed samemi zaś drzwiami od balkonu mieścił się otworzony fortepian. Gdy ogień już się tylko żarzył i jego kędziory pozbyły się lodu, przystawił fotel do komina; usiadł na nim i pociągnął mnie na swoje kolana, wtedy zrobiło mi się tak błogo, skoro poczułam się w jego objęciach, gdym wsparła się o jego ramiona, a tylko topniejące krople spadły na moje rozpalone czoło. — Dumna dziewczyno, rzekł, czyliż cię przymuszałem?..

Milczałam, zamknąwszy oczy. Sądziłam, że po tej godzinie nie ma już życia, nie ma szczęścia, nie ma nieszczęścia....

Potem rzekł on nagle. — Czytałaś przecie wszystkie moje listy i znasz mnie tak dobrze, jak ja sam siebie. Ale o tobie wiem niewiele, bo nawet o najgłówniejszej rzeczy: czy mnie kochasz. Opowiedz mi, jakeś żyła, zanim do nas przybyłaś. Wtedy rozpowiedziałam, co mi przyszło na myśl, o moich rodzicach, i o piosnkach mojej matki, musiałam mu nawet niektóre zaśpiewać, a więc też „Que je vous aime,“ której się nie mógł nasłuchać, wciąż chciał, abym ją powtarzała, i pocałunkami z ust mi porywał słowa, ażem się zerwała i na przekorę mu uciekałam koło stołu, on za mną łapał mnie, silnie obejmował w ramiona i śmieliśmy się jak dzieci. Potem spoważniał i rzekł do mnie:—Jeszczem ci na gwiazdkę nic nie dał, chociaż przywiozłem z sobą, i jedynie dla tego, aby ci to oddać, przyjechałem z uniwersytetu. I wyjął pierścionek calutki złoty, mam go tu na palcu, a gdym wstrząsnęła głową powiedział: — Dla czego nie chcesz go nosić? Milczałam, ale jakiś smutek mnie ogarnął, pomyślałam o przyszłości i rzekłam:—Czy-to na seryo mówisz Gastonie?—Dziewczyno moja, czyliżbym ja na żarty porzucał zabawę i pędził przez parę godzin, podczas przejmującego zimna? Ja znowu:—To być może. Oni jednak nigdy na to nie pozwolą.—Zapewne, jeśliby ich o to pytać, rzekł śmiejąc się. Kto pyta wiele, wiele otrzymuje odpowiedzi! Ciebie tylko pytałem, a ty nie możesz odpowiedzieć: nie. — W istocie, nie mogę, wyciągnęłam do niego rękę, i wsunął mi pierścionek na palec; gdym pocałowała małą tę obrączkę, schwycił mnie w swoje ramiona, podniósł do góry i jak bezbronne dziecko obnosił po sali, zbliżając się do posępnych familijnych portretów.—Dajcie wy także swoje zezwolenie, panowie praojcowie? Czy mogę cię prosić o błogosławieństwo pani babko cioteczna? Wszak nie będziesz temu przeciwny, panie wuju? Patrz, dziewczyno, wszyscy ci honorowi panowie i te poważne damy są ze mnie zadowoleni; a ten wujaszek w błękitno-jedwabnym fraku z brylantowemi guzikami, widocznie wielki znawca kobiet, patrzy na mnie z pewną zazdrością i myśli sobie:—Skąd u diabła nabrał takiego gustu ten chłopiec, którego ojciec jest prosty rotourier. Śmiał się przytem serdecznie i znów z lekka postawił mnie na dywanie, i ująwszy się za ręce spacerowaliśmy po wielkiej sali, mówiąc o swojej miłości.

Jakże czas szybko biegnie; nie chciałam wierzyć gdy w buduarze wybiła piąta godzina, aby on już dwie godziny zostawał ze mną. Na dworze stało się jeszcze ciemniej, ogień na kominie wygasł zupełnie, zażyły się jeszcze trochę węgle, ale już ciepła nie wydawały. Zadrżałam i przytuliłam się do niego, gdyż zdawało mi się, że jak odejdzie, to krew mi zamarznie w żyłach.—Czyś znużona? zapytał, chodź, odprowadzę cię do siebie. Wstrząsnęłam tylko głową.—Czy ty musisz koniecznie dziś odjechać, zapytałam następnie. Zmarzniesz mi w drodze, wiatr poranny jest przejmująco zimny, czuję go jak tu aż przenika przez drzwi od balkonu. On się rozśmiał i rzekł: — Marzłem ja na gorącym balu, gdym z hrabianką tańczył; i opowiadał mi jak zaledwie doczekał się końca zabawy, a gdy wszyscy udali się do gościnnych pokoi, gdyż całe towarzystwo pozostało na noc, pobiegł do stajni i sam sobie konia osiodłał.—Co oni pomyślą, gdy postrzegą twoję nieobecność, i gdy dopiero nadedniem znowu się zjawisz? —A niech sobie myślą, co chcą, odrzekł. Ogrodnik i mały Janek tu mnie nie zdradzą. A choćby nawet co powiedzieli, śmieję się z tego, a ktoby stał ci się powodem do płaczu, temu ja zaśpiewam piosneczkę! powiedziawszy to, usiadł przy fortepianie i grał i śpiewał: „Que je vous aime!„ potem nagle powstał i rzekł:

—Chodź, już czas! poszłam za nim mimo chęci, serce mi biło gwałtownie. Tak prowadził mnie, położywszy rękę na moich plecach, po schodach na górę. Oboje nie rzekliśmy ani słowa. Wprost schodów był mój pokoik, zatrzymałam się na ostatnim stopniu.—Pożegnajmy się tu, prosiłam go. — Tak zimno, mówił z cicha. Chcesz się ze mną rozłączyć wśród cugu wiatrów, na ciemnych schodach?—Wszak musisz odjechać, rzekłam do niego. Jakbyś tam wszedł, to jużbym nie dała ci wyjść w tak zimny poranek, a ty przecież musisz odjechać... — Muszę? rzekł„ i uczułam jak mnie silnie do siebie przycisnął. Nie — Chcę, chcę tu zostać... Godzina ta do nas należy. Kto to wie, Magdaleno kiedy nadejdzie druga podobna! Wtedy ogarnął mnie jakiś nieopisany strach. wyrwałam mu się z rąk, poskoczyłam do mojego pokoiku i zasunęłam zasuwkę.

Lecz kolana się podemną zatrzęsły i padłam na samym progu, uderzywszy głową o klamkę i złożywszy ręce na piersi. Oczy moje padły na ścianę przeciwległą, na której powiesiłam sylwetkę, przedstawiającą mojego ojca w młodym wieku, lecz tak ciemno było w pokoju, że tylko odróżnić mogłam czarną plamę na białym papierze, ale że dobrze znałam każdy jego rys, to zdawało mi się, że wyraźnie widzę jego twarz i w tej samej chwili słyszę jak mawiał o cnocie, że nie można być nieszczęśliwym dopóki się jest cnotliwym. Słyszałam to, jakby mówił tuż przy mnie, lecz jednocześnie słyszałam także przeze drzwi głos Gastona, i uczułam się tak biedną, iż sądziłam, że skonam.—Dobra noc! były to ostatnie słowa Gastona. Pożałujesz jeszcze tego Magdaleno, że takieś mnie odpędziła! Potem zszedł po schodach; ja zalałam się łzami, i wśród łkania posłyszałam tentent oddalającego się konia. Nie mogłam się uspokoić, wyjrzałam oknem. Wyrzucałam sobie, żem niegodna, aby on dla mnie przybywał....

Dziewczyna milczała przez chwilę z zamkniętemi oczami, jakby pogrążona w jakimś magnetycznym śnie. W czasie opowiadania twarz jej stawała się coraz bledszą, czarne źrenice zwiększyły się i były nieruchome, usta przybrały wyraz jakiś obcy, dziki. Jej słuchacz, który obok niej spoczywał na sofie, zerwał się teraz i ujął ją za rękę. —Nie mogę sobie darować, rzekł, żem się domagał twoich zwierzeń. Te wspomnienia wielką ci sprawiają boleść, kochana Magdaleno. Ręce masz pani wilgotne i zimne. Zatrzymaj się chwilę. Powstał, i ze swej podróżnej butelki nalał trochę wina do szklanki, którą jej podał.

— To panią rozgrzeje, jest to wyborny, stary portwein, napij się go Magdaleno, przez miłość dla mnie.

Wzięła szklankę i wypiła nie zastanawiając się.

d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

IV.

Do starego autoramentu pracowników zadziwiających swą pracą i nie szukających gromkiego rozgłosu, których zasługi dopiero potomność oceni, należy bezwątpienia, mało znany naszej publiczności, p. W. Taczanowski, kustosz gabinetu zoologicznego w Warszawie. Człowiek to ogromnej pracy i głębokiej nauki. Działalność jego w dziedzinie ornitologii zaszczyt przynosi polskiemu piśmiennictwu, a prace pana W. Taczanowskiego, zajmują poczesne miejsce obok prac najznakomitszych ornitologów w Europie. Tych kilka słów uznania pozwalamy sobie wypowiedzieć z powodu nowej pracy, którą darzy nas niestrudzony pracownik; praca ta p. t. „Wiadomość o najnowszych poszukiwaniach zoologicznych w Chinach," umieszczona w „Przyrodzie i Przemyśle“ jest ogromnie ciekawa i ze wszech miar godna uwagi.

* * *

„Niwa“ ciągłem podnoszeniem spraw instytucyj gminnych, które to sprawy od pewnego czasu są w tem piśmie na porządku dziennym, daje innym naszym pismom piękny wzór, jak należy im spełniać swe obowiązki, wzór godny naśladowania. W zeszycie 26 z dnia 15 stycznia w artykule wstępnym, redakcya „Niwy“ porusza zaniedbaną u nas najzupełniej sprawę „Bibliotek i czytelni gminnych.“ Jakkolwiek artykuł ten jest nadzwyczaj krótki i niewyczerpuje ostatecznie kwestyi, to jednak samo początkowanie już jest wielką zasługą.

* * *

Coraz to częściej odbieramy wiadomości, że i w tych nawet stronach kraju, które przywykliśmy uważać za najbardziej obfitujące w ogromne zapasy najdoborniejszych dębowych i czarnoleśnych drzewostanów, zapasy te za lat kilkanaście najdalej zmniejszą się do minimum. Takie właśnie wieści dochodzą nas z Mińskiego i Bracławskiego Pobereża. Prawda że tonący brzytwy się chwyta, ale, dodać należy, wtedy tylko gdy ta brzytwa kalecząc ocala; tymczasem zniszczenie lasów nie tylko nie ocala upadających posiadłości ziemskich, lecz rujnuje ich ostatecznie. Ale co też mówimy? wszakże dla nas jeszcze lasu wystarczy!

* * *

„Encyklopedya rolnictwa i nauk związek z niem mających“ zamieściła wyczerpujący artykuł o kredycie rolnym, p. Ludwika Górskiego znanego ziemianina. Praca ta zasługuje na największe uznanie, które podnosi się jeszcze ze względu na żywotność kwestyi, będącej jak wiadomo najwięcej chyba na czasie.

* * *

Bodaj to nasz handel! Tak się cieszymy jego wzrostem, z taką radością notujemy każdy objaw ruchu na tym polu. A on tymczasem? On dąży wszystkiemi siłami do..... utorowania drogi dla sąsiedniego kulturkampfu. Tak przynajmniej sądzić należy z tego co pisze „Gazeta Handlowa.“ Dowiadujemy się z niej, że znaczna część kantorów handlowych i bankierskich w Warszawie, w korespondencyach *zawsze* używa języka niemieckiego, *który jest przytem panującym w kantorze*, bo zarówno obowiązującym przy prowadzeniu ksiąg jak i używanym w pobocznej, urzędników kantoru rozmowie.

Z niecierpliwością oczekujemy zapowiedzianego przez tęż gazetę wyświetlenia przyczyn tej przykrej dla nas anomalii...

* * *

Że nasz dobry ludek z Franciszkańskiej i Wołowej dzielnicy, duszą i ciałem lgnie do tego kulturkampfu, mamy nowy dowód. Jednemu z reporterów Kur. Warsz. udało się dotrzeć do teatru żydowskiego na Franciszkańskiej ulicy, o którym dotąd głuche tylko chodziły wieści. Cena wejścia 15, 30 i 50 k. a przedstawienia odbywają się w idealnym żargonie. Jeżeli podobny teatr w zimie istnieć może, dla czego dyrekcya naszych teatrów stawiła tyle przeszkód pp. dyrektorom trup prowincyonalnych?

* * *

Z zakomunikowanego na posiedzeniu oddziału tanich kuchen sprawozdania, okazuje się, że dochód w kuchni Nr. 1 Nr 2

	Nr. 1		Nr 2	
wynosi	482	82	266	71
rozchód	590	78	354	92
Deficyt	107	96	88	21

Tak więc po pewnym czasie, znowu trzeba się uciec do dobroczynności ogółu, aby tylko niesprzykrzyły mu się datki tak często wymagane, tem bardziej, że stały niedobór ma swe źródło w organizacyi kuchen. O tem pomówimy później trochę obszerniej.

* * *

Z radością zaznaczamy, że nowonarodzone pisma prowincyonalne „Gaz. Lubelska“ i „Korespondent Płocki“ jak dotąd bardzo dobrze wywiązują się ze swego zadania. W „Gazecie Lubelskiej“ zasługuje na wzmiankę artykuł w „Sprawie rzemiosł,“ który sam przez się nie jest wprawdzie nowością, gdyż sprawa ta była drobiazgowo rozbieraną w r. z. w pismach warszawskich, ale „Gazeta Lubelska“ idzie dalej, i wypowiada myśli zmierzające do urzeczywistnia projektu o założeniu warsztatów rzemieślniczych. W tym celu wzywa wszystkich interesujących się tą sprawą o nadsyłanie uwag i spostrzeżeń nad uczynionym projektem.

Życzyć tylko należy aby raz wstąpiwszy na dobrą drogę, pisma te zdołały się na niej utrzymać co pono jest rzeczą najtrudniejszą. Na dobrej drodze prawie każdy był, a tak niewielu na niej pozostaje.

Nowe mogiły przybywają do tylu innych. Niemało w r. z. zaznaczyliśmy niepowetowanych strat, które poniosło nasze nie zbyt bogate w siły piśmiennictwo. Dziś ze smutkiem zaznaczamy nowe luki. Jakób Benedykt Jurkiewicz, znany pod pseudonymem Benedykta Dołęgi, urodzony w roku 1808 zmarł w Kijowie w miesiącu grudniu r. z. Zmarły, towarzysz i przyjaciel tak już nielicznej falangi starych wieszczów i myślicieli naszych, pracował spólnie z nimi w „Tygodniku Petersburskim,“ w „Niezabudce“ Barszczewskiego, w „Roczniku“ Podbereskiego i druskiennickiej „Ondynie.“ Pełnił zarazem z rzadką gorliwością obowiązki korespondenta naszych czasopism. Pracował do końca życia, cierpiał jak ci, co widzą i czują, a skarga nigdy nie postała na ustach towarzysza Goszczyńskich, Zaleskich i Kondratowiczów. Cześć pozostałej po nim pamięci.

* * *

Druga mogiła przykryła zwłoki Wojciecha Grochowskiego, znanego w piśmiennictwie historyka i pedagoga. Zmarły był stałym współpracownikiem Tygodnika Illustrowanego, który też pomieścił obszerny życiorys wraz z portretem zmarłego. Nieboszczyk w ciągu swego życia zasłynął jako nieskazitelny człowiek, sumienny i niestrudzony pracownik, z tem większym więc smutkiem żegnaliśmy zmarłego. Ś. p. Wojciech Grochowski pozostawił po sobie rodzinę, której jedynym funduszem jest: wydane i pozostałe w rękopismach prace zmarłego. Sądzimy, że redakcya Tygodnika, gorliwa w spełnianiu obywatelskich obowiązków, nie opuści i tej zacnej sprawy, która znajdzie chętne poparcie ogółu.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

I.

Charleston 27 *września* 1870 roku.

Opuściliśmy wybrzeże Bateryi dziś o trzeciej południu w czasie największego przypływu morza. Odpływ szybko oddalił nas od brzegów. Kapitan kazał rozpiąć górne i dolne żagle, a silny wiatr północny popchnął Chancellora w poprzek zatoki. Wkrótce potem okrążono fort Sumter, pozostawiając na lewo bateryę strychujące. O czwartej przebyliśmy przewał, skąd silny prąd odpływu uniósł nas dalej. Do pełnego jednak morza daleko jeszcze, a drogę zagradzają ławy piasku, z wąskiemi korytami, przez które trzeba się przemknąć. Kapitan Huntly wybrał południowe przejście, po nad którem leży latarnia morska lewego skrzydła fortu Sumter. Żagle Chancellora ustawiono najdokładniej i o 7-ej wieczorem minąwszy ostatnią ławę piaszczystą, nasz sztatek wpłynął na Atlantyk.

Chancellor piękny trzymasztowiec o 900 beczkach objętości, należy do bogatego domu braci Leard w Liwerpolu, zupełnie nowy, bo parę lat temu zbudowany, jest okuty blachą miedzianą — jego zaś szkielet i dolne części masztu oprócz tylnego, są żelazne.

Po opuszczeniu zatoki zwinięto flagę angielską, pomimo to każdy marynarz rozpozna narodowość statku. Anglik przejawia się w nim od szczytu masztów do linii wodnej.

Powinienem powiedzieć, dla czego jadę na wracającym do Anglii Charlestonie.

Pomiędzy południową Karoliną a Brytanią nie ma bezpośredniej komunikacyi. Ażeby dostać się do której linii transatlantyckiej trzeba było dojechać na północ do New-Yorku

lub na południe do Nowego Orleanu. Pomiędzy New-Yorkiem a starym lądem funkcyonuje kilka linij francuskich i hamburskich, z łatwością więc *Scotia*, *Pereire* lub *Holsatia* przeniosłyby mnie do Europy. Pomiędzy Nowym Orleanem i Europą także przebiegają statki *National, Steam Navigation Co.* W Charlestonie jednak chodząc po wybrzeżu, zobaczyłem Chancellora, który podobał mi się bardzo, zresztą nie wiem, jakiś instynkt nakłonił mnie do zajęcia miejsca na pokładzie tego okrętu, na bardzo przystępnych warunkach.

Podróż morska na okrętach przy pomyślnym wietrze jest prawie tak szybką jak i na statku parowym. pod wszelkiemi zaś innemi względami, przedstawia więcej dogodności. Przy początku jesieni pod tą szerokością pogoda zwykle sprzyja. Zdecydowałem się więc na Chancellora. Czy dobrze czy źle zrobiłem? Czy pożałuję kiedyś mego postanowienia? Przyszłość to pokaże.

Notatki będę prowadził dzień po dzień, w chwili więc kiedy to piszę, wiem tyle co i ty mój czytelniku, jeżeli tylko mój dziennik znajdzie kiedy czytelnika.

II.

28 *Września.* Kapitan Chancellora nazywa się Jan Silas Huntly, Szkot z Dundée, lat pięćdziesiąt, opinię ma wybornego żeglarza. Średniego wzrostu z wąskiemi ramionami, małą i z przyzwyczajenia zawsze na lewo przechyloną głową.

Chociaż nie mam pretensyi być dobrym fizyognomistą, łatwo mi jednak odgadnąć charakter kapitana po kilko godzinnej znajomości.

Nie przeczę więc, że Silas Huntly jest najlepszym marynarzem, może znać wybornie swoję sztukę, ale bardzo wątpię, żeby miał być człowiekiem z charakterem silnym, energią wyprobowaną w najcięższych okolicznościach życia.

W istocie ruchy kapitana Huntly są ciężkie, i ciało jego wygląda jak gdyby znużone.

Zaniedbanie przebija się w jego niepewnem spojrzeniu, w rozbujanych rękach i w niedbałem kołysaniu się z jednej nogi na drugą. To nie jest i nie może być nie tylko człowiek energiczny ale nawet uparty, zresztą ma jakiś niesłychanie dziwny wyraz twarzy, którego dotąd nie umiem sobie wytłómaczyć, będę jednak zwracać nań całą uwagę, na jaką zasługuje dowódca okrętu, ten który nazywa się naszym panem, drugim po Bogu.

Jeżeli się jednak nie mylę, to pomiędzy Panem Bogiem a Huntlym, jest jeszcze na pokładzie człowiek, stworzony do odegrania ważnej roli w razie jakiego wypadku. Jest to porucznik okrętowy, którego dotąd nie wystudyowałem dostatecznie, później go dopiero opiszę.

Załogę Chancellora składają: Kapitan Huntly, porucznik Robert Kurtis, drugi porucznik Walter, bossman i czternastu majtków Anglików lub Szkotów, razem ośmnastu marynarzy, co wystarcza najzupełniej do kierowania statkiem o 900 beczkach. Zdaje się, że ci ludzie muszą znać się dobrze na rzeczy, przynajmniej tak sądzę ze zręcznych manewrów jakie robili pod komendą Kurtisa przy wyjściu z Charlestonu.

Oprócz powyższych, służba okrętowa posiada jeszcze gospodarza Hobbarta i kucharza murzyna Jynxtropa.

Passażerów jest wraz ze mną ośmiu. Dotąd nie znam nikogo, monotonia jednak życia okrętowego, codzienne drobne wypadki, bezustanne stykanie się ludzi zacieśnionych w tak małej przestrzeni i potrzeba wrodzona zamiany myśli, a wreszcie ciekawość do której tak jesteśmy skłonni, nie zaniedbuje nas zetknąć i zbliżyć. Hałas przy odjeździe, zajmowanie kajut i niezbędne urządzenie się ażeby wygodnie spędzić dwadzieścia dni podróży, oddalały nas dotąd od siebie.

Od wczoraj żaden z pasażerów nie przybył do stołu wspólnego, może być, że który z nich cierpi morską chorobę. Podobno znajdują się na pokładzie i dwie kobiety, pomieszczono je w tylnych kajutach, których okna są wycięte w tablicy okrętu.

W księdze okrętowej znalazłem listę passażerów którą tutaj przepisuję:

Państwo Kear, Amerykanie z Buffalo, osób dwie.

Panna Herbey Angielka, dama do towarzystwa.

Pan Latourneur Francuz z Hawru wraz z synem.

Wilhelm Falsten inżenier, Anglik z Manchester.

John Ruby kupiec z Cardauff Anglik.

J. R. Kazallon z Londynu piszący ten dziennik.

III.

29 *września. Konnosament* kapitana Huntly, to jest akt spisujący ładunek towarów na Chancellorze i warunki przewozu, brzmi jak następuje.

Bronsfield et Comp., dom komisowy. **Charleston.**

„Ja Jan Silas Huntly z Dundee w Szkocyi, dowodzący statkiem Chancellor, objętości 900 beczek, obecnie znajdujący się w Charleston, a przy pierwszej chwili pomyślnej, mający się pod opieką Bożą udać do Liverpool, gdzie wyładuje swoje towary, zaświadczam niniejszem, że od pp. Bronsfield et comp., komissantów handlowych w Charleston przyjąłem na rzeczony okręt i umieściłem pod pomostem 1,600 pak bawełny wartości 26,000 funtów ster., wszystko w całości i dobrym stanie, oznaczone i numerowane jak na marginesach; którą to bawełnę o ile stan morza i niebezpieczeństwa mogące mnie spotkać dozwolą, podejmuję się w dobrym stanie dowieść do Liverpol i oddać pp. Leard albo przekaz mającemu, po wypłaceniu za przeprawę 2,000 funtów sterlingów, z potrąceniem szkód według zwyczajów morskich. Poręczam niniejszy układ osobą, majątkiem i okrętem moim. Na dowód czego podpisałem trzy jednobrzmiące knosamenty, po spełnieniu których, moc tychże upada.“

Charleston 13 września 1870 r.

J. S. Huntly.

Tak więc Chancellor wiezie do Liverpol 1,700 pak bawełny. Ładunku tego z największem dopełniono staraniem, Chancellor zaś specyalnie jest zbudowany do przewozu bawełny. Paki zajmują cały spód okrętu formując zbitą massę, mały tylko kawałek miejsca pozostawiono na bagaże passażerów, nie tracąc daremnie przestrzeni, ażeby tym sposobem statek mógł zabrać pełny ładunek.

IV.

Od 30 *września* do 6 *października.* Chancellor wybornie płynie, pozostawiając za sobą wstęgę piany rozrzuconej na powierzchni morza, jak biała koronka na niebieskiej materyi. Niewiele statków mogłoby się z nim wyścigać. Atlantyk jest prawie zupełnie spokojny. O ile wiem, kołysanie okrętu nikomu z podróżnych nie sprawia już przykrości. Zresztą, każdy z nas odbywał drogę morską i więcej lub mniej zna się z morzem, to też jak tylko dzwon da znak posiłku, wszystkie miejsca przy stole zawsze są zajęte. Stosunki pomiędzy passażerami zaczynają się ożywiać i życie na pokładzie przestało być monotonne. Pan Latourneur Francuz, najczęściej rozmawia ze mną. Jest to człowiek mający lat około 50, wysoki z białemi włosami i siwiejącą brodą. Zdaje się starszym nad swój wiek z powodu cierpień jakie przebył w życiu. Człowiek ten wiele przebolał i w duszy swojej nosi źródło nieustającego smutku. Nigdy się nie śmieje, zaledwie uśmiecha niekiedy i to tylko do syna. Oczy jego jak przez łzy patrzą na świat. Cała twarz nosi wyraz goryczy i miłości, pociągając urokiem niewysłowionej dobroci. Pan Letourneur wyrzuca sobie mimowolne nieszczęście, jakiego ojciec względem dziecka może być sprawcą. Na okręcie jest syn jego Andrzej, 20-letni młodzieniec z twarzą słodką i interesującą. Młody ten człowiek jest żyjącym portretem swojego ojca. Nieszczęściem jednak, jest kaleką od urodzenia i to właśnie jest powodem ciężkiego smutku rodzica. Kuleje biedak na skrzywionej lewej nodze, nie mogąc się ruszyć bez laski. Ojciec uwielbia to jedyne dziecko widząc w niem świat cały swój. Kalectwo syna więcej jeszcze dokucza ojcu, który stara się też wynagrodzić nieszczęście biedaka, poświęcając się bez granic. Na chwilę nawet nie opuszcza syna, śledząc najmniejsze jego życzenia i podtrzymując bez ustanku. Pan Letourneur przywiązał się do mnie i rozmawiamy z nim o Andrzeju.

— W tej chwili rozstałem się z synem pańskim. Masz pan dobre dziecko panie Letourneur. Młodzieniec ten odznacza się intelligencyą i wykształceniem.

— O tak, panie Kazallon odpowiedział Letourneur, jest to piękna dusza w słabem zamknięta ciele, dusza matki zgasłej w chwilę po jego przyjściu na świat.

— Ale i on pana kocha!

— Drogie dziecie! szepnął pan Letourneur spuszczając głowę.

— Ah! panie czy jesteś w stanie pojąć wiele cierpi ojciec, patrząc na syna kalekę, kalekę od urodzenia!

Panie Latourneur rzekłem, nie umiecie podzielić się nieszczęściem jakie was obydwóch spotkało. Żałuję szczerze pana Andrzeja, ale czyż miłość jaką pan go otacza nie wynagradza go dostatecznie. Niemoc fizyczna jest niczem, w porównaniu z cierpie-

niem moralnem, które pan zabiera całe dla siebie. Uważnie obserwuję Andrzeja, mogę więc zaręczyć, że rozpacz pańska więcej go boli, niż własne kalectwo.

— Wszakże ja staram się ukrywać to przed nim! zawołał p. Latourneur. Jedyną moją dążnością jest rozrywać go ciągle. Poznałem że bardzo lubi podróże, od wielu lat więc, podróżujemy razem. Zwiedziliśmy całą Europę, obecnie powracamy ze Stanów Zjednoczonych. Nie chciałem posyłać Andrzeja do szkół początkowych, sam go uczyłem, resztę dopełniają podróże. Dusza jego pędzi jak na skrzydłach inteligencyi i wyobraźni pałającej. Jest wrażliwy, raduję się myśląc, że czasami na widok cudownej natury zapomina o swojem kalectwie, ale jeżeli on zapomina, ja o tem pamiętam i wiecznie pamiętać będę! Czy sądzisz pan, że dziecko może kiedy przebaczyć ojcu i matce kalectwo z jakiem na świat go wydali?..

Rozrzewnia mię boleść tego ojca, oskarżającego się o nieszczęście, które stało się mimo jego woli. Chciałem go pocieszać, ale właśnie syn ukazał się i p. Latourneur pobiegł, ażeby mu dopomódz do wejścia na zbyt strome schodki, prowadzące na wystawkę.

Tam usiedliśmy we trzech na ławce blisko kurników, rozmawiając o obecnej podróży. P. Latourneur zarówno ze mną ma bardzo słabe wyobrażenie o zdolnościach kapitana, którego brak stanowczości i ospała powierzchowność, przykre robi wrażenie na wszystkich. Przeciwnie p. Latourneur podobał się porucznik p. Kurtis, silnie zbudowany mężczyzna, obdarzony znakomitą siłą fizyczną, zawsze w ruchu i którego silna wola bije z każdego poruszenia!

Robert Kurtis właśnie wszedł na pomost. Po bliższem rozpatrzeniu się zostałem uderzony wyrazem siły i energii tego człowieka. Chodzi prosto z lekko zmarszczonem czołem, dumnie spoglądając na około. Oprócz energii zdaje się posiadać wiele zimnej odwagi niezbędnej marynarzowi. Ma także dobre serce i usługuje czem może młodemu Latoornerowi. Rozpatrzywszy stan nieba i żaglowanie okrętu, Kurtis zbliżył się ku nam i rozpoczął rozmowę, z czego jak uważałem młody Latourneur szczerze się uradował. Porucznik opowiedział nam niektóre szczegóły o passażerach z którymi dotąd nie zawiązaliśmy stosunków. Państwo Kear pochodzą z północnej Ameryki. Zrobili ogromny majątek na handlu naftą. Pan Kear raczej zbogacony niż bogaty, myśli wyłącznie o swoich wygodach. Kieszenie jego w których bezustanku nosi ręce, pobrzękują dźwiękiem złota. Dumny, zarozumiały z pogardą patrzy na wszystko co go otacza, jak paw zakochany w sobie. Byłoby trudnem do rozwiązania zadaniem, odgadnąć co w nim przeważa—głupota czy egoizm. Nie mogę sobie wytłómaczyć, co mogło skłonić pana Kear do odpłynięcia na pokładzie Chancellora, zwyczajnego okrętu handlowego, bez wygód zapewnionych na parowcach transatlantyckich. Pani Kear jest kobietą pospolitą, bez pretensyi, obojętną, której czterdziestka już minęła, bez wykształcenia i wciąż milcząca. Patrzy ale nie widzi; słucha ale nie słyszy. Czy myśli?... Nie ręczyłbym za to.

Jedynem zajęciem tej pani, jest posługiwanie się co chwila swoją panną do towarzystwa, miss Herbey, łagodną i spokojną Angielką, nie bez upokorzeń zarabiającą te kilka funtów, które jej daje handlarz nafty. Ta młoda osoba jest bardzo ładną blondynką z ciemno-szafirowemi oczami. Wyraz jej twarzy nie jest bezmyślnym, jaki częstokrotnie spotkać można u Angielek. Usta jej byłyby prześliczne gdyby miała czas lub okazyę uśmiechnąć się. Ale do kogo i czego miałaby się uśmiechnąć biedna dziewczyna, będąca celem nieustannego dokuczania i dziwacznych kaprysów? Pomimo to, miss Herbey choć cierpi, z rezygnacyą poddaje się swojemu losowi.

Wiliam Falsten, inżynier z Manchestru z arcy angielską fizjognomią. Jako dyrektor hydraulicznych zakładów w południowej Karolinie, jedzie do Europy ażeby kupić nowo wynalezione maszyny, mianowicie odśrodkowy młyn Caila. Lat może mieć około 43 i należy do tego gatunku uczonych, którzy nic nie znają oprócz rachunku i mechaniki. W rozmowie jeżeli go zaczepisz, chwyta jak koło zębate, bez nadziei ratunku.

Pan Rubry jest to kupiec zwyczajny, niczem się nie wyróżniający. Od dwudziestu lat bezustanku sprzedaje i kupuje, a ponieważ ma zwyczaj tanio kupować a drogo sprzedawać, zrobił więc majątek, z którym sam nie wie co ma robić. Pan Ruby tak dalece zatopił się w handlu detalicznym, że zupełnie stracił władzę myślenia, zadając kłamstwo zdaniu Pascala: Człowiek jest stworzony na to ażeby myślał, jest to jego godnością i zasługą.

d. c. n.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— Na posiedzeniu towarzystwa jeograficznego, w oddziale etnografii, odbytem 13-go zeszłego miesiąca, T. W. Kibalczycz odczytał ciekawy referat o rusałkach, podług wyobrażeń ludu południowo-ruskiego. Każdy lud, w okresie pierwiastkowego istnienia swego, odznacza się szczególnem zamiłowanem do wszystkiego, co jest nadnaturalnem.

Małorosyanie zachowali dotąd to zamiłowanie, przekazując z pokolenia w pokolenie długie i liczne opowiadania, pełne cudów i wydarzeń nadnaturalnych, którym lud daje wiarę z naiwnością dziecięcą. W liczbie takich opowiadań cudownych nie ostatnie miejsce zajmują opowiadania o rusałkach, na cześć których istnieją jeszcze dotąd rozmaite obrzędy i uroczystości, jak również rozmaite miejsca, porozrzucane w znacznej liczbie w gubernniach południowych, zwłaszcza nad Dnieprem, wzdłuż rzek i jezior, wśród lasów, pod cieniem gęstej roślinności nadbrzeżnej.

Podług wyobrażeń ludowych, rusałki są to aniołowie ziemscy, dusze dzieci zmarłych bez chrztu. Pod względem swej postaci zewnętrznej, rusałki są to dziewice kształtne, pełne gracyi, z długiemi włosami rozpuszczonemi, z blademi licami, pełnemi niewysłowionego wdzięku i czarującej piękności; rusałki są wiecznie młode i wiecznie piękne, tak, iż zwykły śmiertelnik nie jest w stanie oprzeć się ich urokowi. Długim sznurem, śpiewając i tańcząc, unoszą się rusałki w powietrzu, i jak skoro niedoświadczony chłopiec wpatrzy się w nie dłużej, wnet porywają go one do swoich siedzib nadpowietrznych, gdzie patrzą mu długo w oczy, śmieją się dźwięcznym śmiechem dziewiczym, całują i nareszcie łaskoczą na śmierć biednego chłopca. W ten sposób zginął nie jeden silny i potężny bohater, i nawet zginął pewien bardzo ognisty, nieostrożny królewicz; co się zaś tyczy prostych chłopców, których rusałki „załaskotały,“ tych liczba jest bez końca. W ogóle rusałki odznaczają się miłością jak najognistszą, jak najbardziej nierozsądną dla młodych mężczyzn, nie lubią zaś kobiet, ludzi żonatych i starców. Zamieszkują rusałki gdzieś niedaleko wody, w głębiach jezior i w kotlinach rzek, zwłaszcza zaś lubią mieszkać koło skał na rzekach, gdzie wznoszą dla siebie wspaniałe pałace, kapiące od srebra i złota, drogich kamieni i muszli różnokolorowych; w tych ustroniach tajemniczych rusałki spędzają czas na kąpaniu się w wodzie, grzaniu się po nocach pod blademi promieniami księżyca i oddawaniu się rozmaitym zabawom i psotom, dobrze znanym rybakom i tym wszystkim, którzy mieli do czynienia z rusałkami. Wieczorem rusałki lubią bujać się na gałęziach drzew i wabić do siebie przechodniów, lecz biada nieszczęśliwemu, który ulegnie ich urokowi...... wśród śmiechu i śpiewów, rusałki wprowadzają swą ofiarę do swych wspaniałych pałaców, po upływie zaś jakiegoś czasu, wypływa na powierzchnię jeziora lub rzeki zimny trup młodzieńca załaskotanego przez rusałki.

Lud wierzy w rusałki, znosi do lasu koszule i ręczniki, ozdabia kwiatami groby dzieci nieochrzczonych, śpiewa na cześć rusałek mnóstwo pieśni, na wiosnę zaś około Zielonych świątek, gdzieś w lesie lub na brzegu strumyka, wyprawia pląsy na cześć uroczystości rusałek.

Rusałki, zdaniem p. Kibalczycza, są mieszkankami wody bieżącej, której strzegą i od której też otrzymały nazwę (*rusa*—woda). Dalej, zdaniem p. Kibalczycza, nasze rusałki mają wiele wspólnego z wilami i diwami słowian południowych, z elfami i nimfami niemców.

— Wiktor Hugo napisał nowy utwór poetyczny p. t. „Justes Colères,“ stanowiący dalszy ciąg „Annés Terrible.“ W lutym wyjść ma z druku trzecia część „Actes et Paroles“ pod nazwą „Après l'exil.“ „Sztuka być dziadkiem,“ będzie podobno ukończona już za parę miesięcy. Inne jeszcze dzieło Wiktora Hugo „Le jardin des Plantes,“ z którego wyjątki czytał on swym przyjaciołom, ma być pełne życia i humoru.

— Gustaw Doré pracuje obecnie nad wielkim obrazem przedstawiać mającym przybycie Chrystusa do Jerozolimy. Obraz rzeczony ma wysokości stóp 20, długości 30.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 (26) Января 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.